



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Ryszard Ratajczak

W mieleckiej konspiracji

„Rauschmeiserzy” przychodzili zazwyczaj wieczorem. Do jednych jak tylko zmrok nastał, do innych w środku nocy. Prawdopodobnie grupa taka musiała wyrzucić z mieszkań dwie lub trzy rodziny każdej nocy i stąd różne pory ich pojawiania się.

O tym, że polskie rodziny wyrzucają z mieszkań, z domów położonych w centrum Poznania, w tak zwanych ładnych dzielnicach jak Sołacz, Łazarz, „Abisynia”, to jest obszar za szpitalem Diakonisek (Przybyszewskiego), wiedzieliśmy już od pewnego czasu. Znajomi, krewni, obcy przyjaźnie nastawieni ludzie informowali się wzajemnie. Wiedzieliśmy też, że w magazynach wojskowych na Główniej Niemcy urządzili obóz dla tych, których wypędzili z domów. Niewiadomym jednak było, czy „rausschmajserowani” będą tam zakwaterowani na stałe czy też – na co wskazywała nazwa „Durchganglager Głowna” – jest to obóz czasowy.

W październiku wraca z Warszawy ojciec, oficer 57 pułku piechoty. Przemierzył cały wojenny szlak, bronił Warszawy i dostał się do niewoli niemieckiej. Zdobywcy stolicy w swoim wielkomocarstwowym geście puścili ich jednak do domów. Radość! Ojciec, mąż, powrócił cały i zdrowy, chociaż głodny, obdarty i zmęczony. Wolność jego została jednak ograniczona, bo codziennie musiał się meldować w Polizeiprezidium przy Pl. Wolności. Tam to, na specjalnym arkuszu wklejonym do ojcowskiego dowodu osobistego czy może do legitymacji oficerskiej, przystawiano każdego dnia pieczęć z wielką gapą.

Wysiedlanie w Poznaniu rozpoczęto już w listopadzie 1939 roku. Zaczęto od ulic Matejki, Wierzbęcic, no i przede wszystkim Placu Wolności, Św. Marcina i z ulic przyległych. Mieszkań okupant potrzebował dla Niemców, którymi zasiedlał Poznań. Około 15 grudnia tamtego roku przyszli po nas. Zaczęło się od walenia w bramę. Dozorca, który mieszkał na czwartym piętrze, na strychu, nim zszedł, otrzymał już instrukcję jak i kogo ma ostrzec. Niestety, przekazany sygnał dotyczył naszej rodziny.

Spodziewaliśmy się, że właśnie w tym dniu przyjdą po nas. Rano, kiedy ojciec meldował się w Polizeipresidium, przystawiający pieczęć policjant powiedział do niego: „Na... Stanislaus, das ist schon die Letzte meldunk. Hast du hier Ohre Papiere”. Faktycznie był to ostatni wysiłek niemieckiego policjanta.

Na wyrzucenie z domu byliśmy przygotowani. Ojciec, wojskowy, dobry organizator, wiedział co trzeba zabrać, ile każdy z nas może unieść. Każdy z nas miał plecak i dwa pakunki – w każdej ręce po jednym. Tobołki połączone były paskiem, aby w razie potrzeby przewiesić przez szyję i mieć wolne ręce. Zawartość naszych bagaży uprzednio wielokrotnie była sprawdzana przez mamę i ojca: „to będzie potrzebne zimą, a to latem. A w czym ugotować jedzenie? czym jeść?” Przepakowywano, chowano,

wyjmowano, wkładano. Przy pomocy Dziadka oderwano deski podłogowe i tam schowano to wszystko, czego nie można było zabrać, a co po wypędzeniu Niemców, po wygranej wojnie będzie potrzebne.

Toboły i plecaki leżały w korytarzu. Każdego wieczoru mama przygotowywała nam dwie pary ciepłej bielizny, swetry, skarpety, krem do twarzy. Połowa grudnia, a za oknem siarczysty mróz. Nikt nie wiedział, czy na tej „Głównie” w barakach jest ciepło, czy ogrzewają. Wszystko przygotowane po to, aby można było w krótkim czasie ubrać się. Aby mama mogła jeszcze na gazie ugotować herbatę i wlać ją każdemu do termosu.

I przyszli! Spałem. Mama obudziła nas – mnie i brata. Wiedzieliśmy już co każdy ma robić, w co się ubrać, co jeszcze dopakować, co zabrać. „Macie pół godziny na ubranie, zabranie swoich maneli i raus!” Było ich trzech. Jeden w mundurze policjanta, drugi starszy, mówiący w miarę dobrze po polsku i trzeci młody w jupie bez czapki z opaską „HJ” na rękawie. Ten starszy namawiał ojca, żeby wszystko, czego nie chciałby zabrać, na przykład: złoto, biżuterię, dolary – jemu dać. On, zasiedziały od pierwszej wojny Niemiec, jest uczciwym drukarzem z Posener Zeitung i dostarczy nam to do obozu. Dobrze radzi, bo przy wejściu jest ścisła rewizja i wszystko co Polakom jest niepotrzebne zabierają.

No i raus! Dorobek całego życia moich Rodziców i służby ojca w jednej chwili przepada! Mieszkanie przejmą ci z „rasy panów”, którzy zasiedlać będą to „Urdeutsche” miasto. Mieszkanie zamykał ten starszy Volksdeutsch. Plombą zaklejał młody „hajotek”, a policjant... był na tyle „uprzejmy”, że pomógł Mamie nieść jeden z tobołków. Szedł tak szybko po schodach, że nie mogliśmy za nim nadążyć. Przed domem był już bez pakunku. Dał go dozorczy i kazał pilnować. Miał odebrać następnego ranka. Dozorca żegnając się z Rodzicami oddał nam to, co to bydle chciało ukraść.

Teraz ulica Św. Marcina na inną numerację. Wówczas była ulicą o jednym pasie ruchu. Nad nami na pierwszym piętrze mieszkali właściciele sklepu spożywczego – Hoffmannowie. Była to starsza, bezdzietna rodzina niemiecka, jedna z tych jakie pozostały po powstaniu Polski po I wojnie światowej. Ich sąsiadami byli państwo Kromczyńscy, właściciele tego domu (numer 47), a także mieszczącego się na parterze dużego sklepu z rowerami i maszynami krawieckimi. Po zajęciu Poznania przez Niemców, Rodzice usiłowali z nimi kilkakrotnie rozmawiać. Cała „przedwojenna” znajomość i dobre, a kto wie, czy nawet nie towarzyskie kontakty, zostały zerwane. Doszło do tego, że kiedy pewnego dnia nie powiedziałem pani Hoffmannowej „dzień dobry” po niemiecku, tylko po polsku, to zatrzymała mnie i ostrą reprymendą upomniała, że teraz jest tu państwo niemieckie i obowiązuje „szwargot”. Kiedy wyprowadzono nas przed dom, stali w oknie i patrzyli. Ciekaw jestem co myśleli. Czy – „szkoda ich, byli dobrymi sąsiadami” czy może – „wreszcie pozbyliśmy się tego polskiego oficera”.

Z innych domów wyprowadzano podobnych nam. Ulica pusta. W oknach tylko za firankami widać twarze tych, których jeszcze nie „rausschmeisowano”. Znajomi ojca spod 46 poruszali firanką. Tak tylko mogli nas żegnać. Z sąsiedniego domu wyprowadzono rodzinę Szczypiorskich. On był nauczycielem w którymś z gimnazjów. Jego żona uczyła gry na fortepianie. Idziemy Martinstrasse do Ritterstrasse (Ratajczaka). Ciężkie bagaże powodują, że co chwilę stajemy. „Keine pause machen! Schnell! Ist schon nicht weit!” I nie było już daleko.

Zaprowadzono nas do Polizeiprezidium, do sali – pokoju na parterze. Sprawdzono, czy my to my. Coś tam napisano, podstemplowano, odfajkowano i wyprowadzono przed budynek. Stały przygotowane już dla nas autobusy. Wsiadanie odbywało się trochę opornie, bowiem nikt nie chciał oddawać bagaży, które jakiś Niemiec wrzucił do bagażnika umieszczonego na dachu.

Jedziemy. Siedzący przy oknie zdrapują lód z szyb. Każdy kto może chucha, dmucha, drapie. Garbary. Rzeźnia. Nie, skręca na Śródkę, bloki magistrackie dla bezrobotnych, Główna, Strzelnica. Zakręt w lewo i przed nami otwiera się brama „Durchgangslager-Glowna”. Napisu żadnego nie było. Byli za to wartownicy z karabinami, reflektory i parkan, płot z drutów kolczastych. Był to teren przedwojennych magazynów wojskowych.

„Aussteigen! Wszyscy kierują się do Anmeldunk Baracke!” – wysilając się na język polski obwieścił eskortujący nas policjant. Ordnung muss sein! A więc dostaliśmy jakiś papierek, na którym narysowany był plan „baraki” z miejsce zaznaczonym dla naszej czteroosobowej rodziny. Barak był to – w pojęciu 9-letniego dzieciaka jakim wówczas byłem – duży, parterowy budynek z torem kolejowym wewnątrz, biegnącym przez całą długość. Tor przykryty był deskami, płytami kamiennymi i znajdował się dużo poniżej bocznych połączeń składowych. Teraz wiem, że wgłębienie torowiska było takie, że otwarte drzwi wagonu sięgały poziomu składowiska. Z dwóch stron baraku znajdowały się olbrzymie wrota, wielkości wagonu, a w nich małe drzwi. Wejście i wyjście przez nie było zawsze problemem i sprawność fizyczna (łokcie) konieczne były przy dużym ruchu ludzi. W obu końcach znajdowały się rynnowe umywalnie, wyłącznie z zimną wodą. Ustępy – latryny były na zewnątrz. Można wyobrazić sobie, co czynili rodzice mający małe dzieci, którzy nie chcieli, aby ich pociechy przeziębily się wystawiając pupy na siarczysty mróz, jaki w tym czasie panował. Wewnątrz, w tej „torowej” części, ustawiono kilka dużych, wysokich pieców, które ogrzać miały to olbrzymie pomieszczenie. Życie skupiało się właśnie przy nich. Suszenie pieluch, ogrzanie jedzenia, suszenie mokrej odzieży, ogrzanie się po umyciu. Co tam się działo! Każda z mam chciała najlepiej dla swoich pociech. Uciszała się napięta atmosfera w nocy. Wtedy starsi pod-

chodzili do pieca, siadali, palili, suszyli, gotowali, a przede wszystkim dyskutowali jak długo ta wojna może potrwać, czy do wiosny starczy odzieży jaką zabrano. Do rana trwały dysputy.

Każda rodzina otrzymała, w zależności od liczby członków, bloki prasowanej słomy. Wydający nie liczył dokładnie ile wydaje, więc brano i noszono do baraku tyle, aby zrobić z nich rodzaj ścian i podłogi izolującej od betonowego podłoża. Nad legowiskiem każdy z tego co miał lub z tego co znalazł tworzył rodzaj dachu. Silne lampy, jakie zainstalowano bardzo gęsto, paliły się całą noc.

Rano jeden koniec hali zaczynał „Kiedy ranne...” i już za chwilę obudzeni wszyscy śpiewali tę poranną modlitwę. Podobny był wieczór. Głośniejsze rozmowy, zabawy, karmienie i mycie dzieci kończyła wieczorem śpiewana modlitwa: „Wszystkie nasze dzienne sprawy...”

Jedzenie wydawano w innym budynku. Każda mama czy tata szedł raz dziennie w porze obiadowej z garnkami i przynosił zupe, chleb i Brotaustrisch (marmoladowe smarowanie), trochę cukru, trochę mleka i kawę w kostkach. Było to jedyne pożywienie, jakie starczyć nam musiało na cały dzień. Każdy starał się coś zdobyć do jedzenia, do wyżywienia swojej rodziny. Elektryk, który naprawiał, a raczej wymieniał ciągle przepalające się żarówki, okazał się być żołnierzem z ojca batalionu. Był to pracownik spoza obozu. Pomógł nam bardzo dużo – chociaż okazało się, że był Volksdeutschem. Dzieciarnia, pomimo tragizmu sytuacji, ślizgała się, gonila, bawiła i ciągle moczyliśmy w śniegu szarawary i buty. Biegaliśmy i zmęczeni przybiegaliśmy do „stajenki” – naszego słomianego domku w baraku. Już z daleka wołaliśmy: „Mamo jeść”! I co ta matka miała nam dać?!

Pamiętam, że bardzo martwiłem się, że zbliża się Gwiazdka. Rodzice mówią o niej, dzieciaki też – co i gdzie kupią prezenty, jeśli wyjść z obozu nie można. Było to nasze duże zmartwienie. I nadeszła. Był opłatek – nie wiem gdzie i jakim cudem rodzice go zdobyli – były kolędy śpiewane przez cały barak i był płacz, płacz i płacz. Ludzie modlili się, śpiewali, modlili. I tak mijały nam święta Bożego Narodzenia 1939 roku. Zrozumiałem, że prezentów być nie mogło i jeszcze długo ich nie będzie.

Po Nowym Roku zaczęto coraz głośniej mówić o tym, że nas wywiozą. Jedni wiedzieli – z pewnych źródeł – że jedziemy do Reichu, inni, że do Austrii w góry, do robót u bauerów. Wszystkie te informacje były pewne i z wiarygodnych źródeł.

Wczesnym rankiem 14 lub 15 lutego 1940 roku, a więc po 2-miesięcznym pobycie w baraku, na teren obozu wjechał pociąg z wagonami czwartej klasy. Były to wagony z ławkami pod ścianą i w połowie długości, a środek był pusty. Lokomotywa odjechała. Następnego dnia lub jeszcze tego samego, przy wydawaniu posiłków południowych, każdy odbierający dla rodziny posiłek otrzymał kartkę z numerem wagonu i dozwoloną wagą bagażu. Zajmowanie miejsc rozpocząć miało się w godzinach wieczornych. A zatem gdzieś jedziemy. Zaczęto pakować to, co w ciągu miesięcznego pobytu używano i pomału maszerowano w stronę przydzielonego wagonu. Uważano bowiem, że kto pierwszy ten lepszy. Wagony były zamknięte. Wszyscy już czekali przed nimi. Oceniono, że starczy miejsc siedzących dla wszystkich i że dzieciaki będzie można położyć w części środkowej. Weszliśmy. Zajmowanie miejsc odbyło się spokojnie i bez jakichkolwiek rozdrażnień. Zimno! Niepodłączone do lokomotywy parowozu wagony były metalową lodówką. Ojcowie pobiegli do baraku po słomiane bloki. Obłożono nimi nieszczęsne drzwi i wyłożono środkową część wagonu. Nad ranem wagony pozamykano, podjechała lokomotywa. Pociąg rozbrzmiewający pieśniami i modlitwą ruszył.

Jechaliśmy przez Poznań, Kórnik, Ostrów, Kępno. I nagle okrzyk: „Patrzcie, to Częstochowa! Gdzie oni nas wiozą?” Tak długo, jak było widać wieżę Jasnogórskiego klasztoru śpiewano, modlono się. W nocy pociąg stał. Nie grzano. Zamarzł wylot rury ustępowej. Bardzo przydała się słoma. Pałac ją doprowadzono to pomieszczenie do stanu używalności. I nie tylko do tego przydała się słoma. Podłoga w WC była blaszana i na niej pałac słomę i wydłubane z oparcia i siedzeń drzazgi, podgrzano to, co zabrano na drogę. Jechaliśmy dalej – wolno, z długimi postojami i cały czas pilnowani.

I znowu wieczór, znowu noc. Jedziemy, stajemy, marzniemy. Stoimy już ponad godzinę. Któryś z panów sprawdza kłamkę. Drzwi można otworzyć. Wychodzi pani, która całą drogę odmawiała różaniec. „Jestem samotna i jeżeli mnie zabiją nic wielkiego się nie stanie”. Wraca. I co? Ta stacja nazywa się Miechów. Kilkoro ludzi siedzi w poczekalni. Naszych strażników jednak nie widać. Panowie polecili w poszukiwaniu bufetu. Noc. Bufet zamknięty. Dyżurny dał swoją manierkę z gorącą kawą i pozwolił przyjść ugotować coś dla dzieci. I już wszystko wiedzieliśmy. Rano przyjechać mają w Ramach szarwarku podwozy i będą nas rozwozić po wsiach w całym miechowskim powiecie. Ulokowani zostaniemy u gospodarzy. I co dalej z nami będzie – nikt niczego nie wiedział.

Podwozy przyjechały i zaczęto nas ładować na nie w kolejności wagonów. Gołcza. Wielkanoc. Rzerzuśnia. Do tych wsi zawieziono rodziny z naszego wagonu. Droga złączyła nas i nawiązała się przyjaźń wynikająca z sytuacji i potrzeby opieki nad dziećmi. Chcieliśmy być w jednym miejscu i pomagać sobie wzajemnie tak, jak pomagano sobie i ustępowano w czasie podróży w zimnie, a raczej mrozie, bez możliwości przygotowania gorącego posiłku.

Podwoda – wóz dwukonny, zawiózł nas do wsi gminnej, jaką była Gołcza. Wójt miał swoją siedzibę w solidnym, kamiennym budynku, parterowym, na górcie, naprzeciwko kościoła i szkoły. Po krótkiej rozmowie z ojcem, który już w Poznaniu przy wsiadaniu do pociągu stał się „przewodnikiem” naszej

grupy, zostaliśmy skierowani do wsi Rzerzuśnia. Oczywiście każda rodzina do innego gospodarza. Kiedy już mieliśmy ruszyć okazało się, że do tej wsi może jechać tylko jedna rodzina, a pozostałe do innych: Wielkanocy, Zagórki, Kamiennej i Jaksic. Przesiedliśmy się i przeniesiono toboły na wóz gospodarza, do którego nas skierowano. Bartłomiej Rolka, bo takie było nazwisko gospodarza, przyjął nas – co tu ukrywać – chłodno. Trudno bowiem wyobrazić sobie, aby sprawiało komuś zadowolenie przyjęcie z obowiązku czterech ludzi, danie im oddzielnej izby i żywienie ich. Wprawdzie utrzymywani winniśmy być przez całą wieś, jednak wiadomo, że obowiązek taki trudno byłoby wyegzekwować.

Państwo Rolkowie byli – jak na tamtejsze warunki i czasy – bogatymi gospodarzami. Kilkupokojowy dom zbudowany z kamienia wapiennego, jakiego kamieniołomy znajdowały się opodal, miał duże pomieszczenie przewidziane na sklep. Osobne wejście, dwa okna i przejście do sporej kuchni właścicieli. Dwie stodoły. W stajni dwa dobrze utrzymane konie, kilka krów, kilkanaście świń, sad, ogród.

Napalono w „naszym” pokoju, rozpalono w kuchni pod płytą, dano nam jeść. Wszyscy się porządnie wymyli. Mama wyprała bieliznę. Następnego dnia obudzono nas na... obiad. I wtenczas dopiero rozpoczęła się rozmowa. Co dalej? Przy stole z dobrym, mięsnym obiadem usiedliśmy wszyscy. Obie rodziny. Pan Rolka Bartłomiej, jego żona Maria, syn Tadeusz w wieku około lat dwudziestu, córka Marylka w 17 roku i Staszek, dziewięcioletni, a więc mój rówieśnik. Zelżała po tym obiedzie atmosfera, kiedy dowiedzieli się, że ojciec jest oficerem Wojska Polskiego – co zresztą musiał udowodnić. A my, nasza rodzina wydaliśmy się im możliwi do polubienia. Ustalono co kto z nas będzie w gospodarstwie wykonywał i jak długo zamierzamy siedzieć im na karku.

Z czasem okazało się, że byli to ludzie wyjątkowi. Ich serce, pomoc i dobre słowo pozwoliły nam przetrwać bardzo ciężki dla naszej rodziny czas, a także bardzo mroźną zimę. Mama gotowała, a że było z czego, wymyślała rolady, rolmopsy, gołąbki i sto pięć innych obiadowych potraw. Inaczej zaczęły wyglądać i smakować śniadania i kolacje. Z mięsa, którego polcie wisiały w chłodnej piwnicy zrobiono kielbasy: białe, wędzone, pasztety, no i – co było rewelacją na skalę całej wsi – torty i placki z kruszonką. Mama nie tylko gotowała i piekla dla naszych dwóch rodzin, ale dla prawie połowy wsi. Każdy zapraszał ją do pieczenia. A kiedy u sąsiadów szykowało się wesele, to mama spędziła tam dwie doby na przygotowywaniu uczy. Każdy coś dał. Starano się wynagrodzić Mamę pracą przy przygotowywaniu tak „dziwnych” potraw. Było więc – choć częściowo – za co się utrzymać. Wszystko to, co zarobiła dawała gospodyni, bowiem oddzielnej kuchni nie prowadzono. Mama w dalszym ciągu była „nadworną kucharką” i nauczycielką kulinarnego kunsztu ich córki – Marylki.

Ojciec z bratem i Tadeuszem (ich synem) jeździli do kamieniołomów i zwozili kamienie, bowiem mieliśmy wybrukować podwórze. Naprawiali drzwi i wrota dotychczas zamykane podpartym drągiem, okna, żłoby, ogrodzenia i przede wszystkim cięto drewno na opał, rąbano i układano je w takie zgrabne, okrągłe „domki”. Zresztą ojciec wynajdywał sobie pracę nie tylko u naszych gospodarzy, ale i u innych, w całej wsi. Też coś zarobił. To przyniósł kilka jaj, to kawał boczku, to zgrabną siekierkę – od kowala. A i pieniądze także, chociaż w czasie naszego tam pobytu wieś ich prawie nie miała.

Brat albo pomagał ojcu w tych pracach albo z Tadeuszem jeździł do lasu po drzewo. Była to ciężka praca. Drewno trzeba było już w lesie pociąć na metrowe kawałki i tak poukładać, aby gajowy mógł zmierzyć, wrzucić to na wóz, związać łańcuchami, żeby w czasie jazdy po podgórskim terenie nie spadło i jechać. Jechać? Iść koło wozu i cały czas albo pomagać koniom przy jeździe pod górę albo drągiem hamować, blokować koła przy zjeździe w dół.

Za to w niedzielę do Rolków schodziła się młodzież z całej Rzerzuśni i wsi okolicznych. Brat miał aparat fotograficzny. Dostał go od ojca za dobre wyniki na świadectwie w drugiej klasie gimnazjum. Był to mieszkowy Voiglander, którym każdą niedzielę robiono 3 do 4 rolek filmu. Wtenczas można było jeszcze kupić film w Miechowie. Za wszystkie posiadane oszczędności, z zarobionych tam pieniędzy kupiono cały karton niemieckich filmów. Ta czynność brata była – jak przypuszczam – jedynym źródłem dostarczenia gotówki.

Tak więc jedzenie mieliśmy, bo mama gotowała i dla nich i dla nas. Pokój i opał był zapracowany przez ojca i brata w robotach gospodarczych i pieniądze zarobione przez brata fotografowaniem. Można było zimę przeżyć, tym bardziej, że jak Anglia i Francja zadadzą Niemcom druzgocące uderzenia, to wojna się skończy. Wrócimy do Poznania i kto wie, czy nie dostaniemy jeszcze odszkodowania za straty poniesione przy wysiedleniu. Wielkość czy wartość odszkodowania, jaką winniśmy otrzymać była (w dyskusjach) największym problemem. Bo to, że wojna na wiosnę się skończy i Niemiec dostanie po łbie, to było oczywiste i pewne.

W niedzielę rodzice szli do znajomych poznaniaków mieszkających w innych wsiach, albo oni przychodzili do nas. Użalano się na brak opieki przez tych, którzy mieli ich żywić (rzadko o pracy jaką należy wykonać). Zastanawiano się co robić dalej. Radzono się, doradzano, wyciągano rękę po żebranię. I tak dotrwano do wiosny. Zaczęły się prace polowe, wywożenie obornika, ciężka praca z pługiem, brukowanie podwórza uprzednio przywiezionymi kamieniami. I co dalej? Jak i za co żyć?

Mama uzbierała trochę jaj, mięsa, mąki i pojechała do swojej kuzynki do Warszawy. Pracy tam nie było, a zamieszkać tam było niemożliwością. Znalazło się wielu chętnych na przywiezione towary.

Pojechała kilka razy. Znała perfekt niemiecki. Wsiadała w Miechowie do warszawskiego pociągu, do przedziału dla Niemców i zawsze szczęśliwie dojeżdżała. Raz tylko, kiedy zabrała ze sobą córkę gospodarzy, Marylkę i jechały w normalnym, dla ludzi, czyli dla Polaków wagonie, gdzieś za Tunelem weszli „granatowi” i zabrali jeden pakunek. Pokazała Marysi Warszawę i od tego czasu Marysia chciała stale z Mamą jeździć. A i pół wioskowych dziewczyn także.

W Rzerzuśni zobaczyłem po raz pierwszy w życiu prawdziwych Żydów. Mieszkało tam zaledwie kilka rodzin żydowskich. Szewc, sklepikarz, handlarz byłem, taki co skórki kupował, może jeszcze ktoś, czego nie wiem i najważniejszy – jeden z grona najbogatszych we wsi – młynarz Silberkranz (lub podobnie). W sobotę chłopacy wiejscy mieli już „swoje” żydowskie rodziny, u których palili w piecu, poili bydło, dawali zwierzętom siano, owies – karmili je. W zamian za to dostawali od świętujących szabas kilka groszy lub coś słodkiego. Rodziny polskie i żydowskie żyły ze sobą w zgodzie przez wieki, wzajemnie się uznawały i szanowały każde święta sąsiada. W tej wsi rasizm powstał chyba dopiero wówczas, gdy powiedziano ludziom, co to takiego jest. Dopóki nie wiedzieli, to nawet żydowskie dzieci nie wychodziły z klasy na lekcjach religii.

Z tym to właścicielem dużego murowanego młyna wodnego nawiązał kontakt ojciec. Silberkranz był w społeczności żydowskiej osobą znaczącą, bowiem jego współwyznawcy tytułowali go rebe. Kiedy pewnego razu przyjechał do wsi szochet (rezak) i w wielu rodzinach żydowskich zabijano drób, pan Silberkranz zaprosił rodziców na kolację. Przy kieliszku ambitu, stole pełnym cymesów, mecyji i bajgeli trwała opowieść o tym, co Niemcy zrobili z nami i co czeka naród żydowski. O Hitlerze mówiono, że: „Łoj jaale wełoj jawoj”, co znaczy „Nie wszędzie i nie wejdzie”. Obecni na kolacji także inni Żydzi z Miechowa i Słomnik uważali – „idą dla nas Idów Jamim Noraim” (Żydów ciężkie dni). Takich spotkań było kilka w czasie naszego w Rzerzuśni pobytu. Żona młynarza przychodziła do nas, moja mama chodziła do nich. Spotkania te poza towarzyską wymianą poglądów były dla nas korzystne z racji otrzymywania od nich zawsze woreczka mąki, kaszy, jaj, drobiu. Kiedy wyjeżdżaliśmy z Rzerzuśni, gościnni Żydzi zegnali nas po żydowsku „Mazltov” (szczęścia). Nigdy już nie spotkaliśmy się, nie wymieniliśmy korespondencji. Wiem, że zginęli. Gdzie i jak – pozostanie pewnie tajemnicą grobu. Rodzice usiłowali jeszcze nawiązać kontakty z właścicielami folwarku, jaki znajdował się na końcu wsi, przy drodze do Gołczy. O ile pamiętam spełzło to na niczym. Powodem było podobno nasze „skumanie się” z Żydami. Niemniej jednak ojciec rozmawiał w folwarku z ludźmi, których właściciel przebierał z mundurów w cywilne rzeczy. Uzyskiwał jakieś dokumenty dla nich i wysyłał do Nowego Sącza do swojego brata. Stamtąd droga prowadziła już na Słowację i dalej na Węgry.

Przyjaciół ojca z lat pierwszej wojny światowej, kiedy to razem służyli w „Kaczmarek-Regiment”, o tym samym nazwisku, Bronisław, mieszkał w Mielcu. W czasie I wojny razem siedzieli w okopach pod Verdun. Razem zabijali tysiące szczerów, wspólnie opatrywali sobie rany i wspólnie przyjechali na urlop. Traf chciał, że w tym czasie wybuchło Powstanie Wielkopolskie. Razem w nim walczyli. Razem zdobywali Ławicę i razem zostali później w wojsku w lotniczej bazie – Ławica. Kiedy powstała Polska ojciec ukończył kursy oficerskie, a pan Bronisław uzyskał patent mechanika lotniczego. Z czasem przeniósł się do Warszawy do LOT-u, a później, gdy rozpoczęto budowę COP-u, do Mielca. Korespondowali ze sobą przed wojną, spotykali się prywatnie i na zjazdach Peowiaków. Ostatni raz widzieli się wiosną 1939 roku. Po wyrzuceniu nas z Poznania i przyjeździe do Rzerzuśni ojciec napisał do przyjaciela. Otrzymał bardzo zachęcającą odpowiedź i latem 1940 roku pojechał do Mielca. Pogadali, pozałatwiali ze starymi Peowiakami i żołnierzami. Znaleźli dla nas mieszkanie we wsi Cyranka, leżącej pomiędzy osiedlem bloków fabrycznych Mielca a Werkiem. Ostatecznie ustalono, że pracę trzeba załatwić przez Arbeitsamt w Miechowie i w Mielcu i jesienią – bo do tego czasu należało to wszystko załatwić – sprowadzimy się do Mielca. Po powrocie ojca zaczęło się przygotowywanie do wyjazdu. Wprawdzie czasu było jeszcze bardzo dużo, ale i roboty sporo, bo podwórze nie wybrukowane na całej powierzchni, nie dokończony prace murarskie w świniami, u Kowala nie przestawiony piec. Najważniejsze jednak to żniwa. Pracowaliśmy dużo. Ustalono z gospodarzem, panem Rolką, że wyjedziemy po wybierkach. Dostaniemy wtenczas jakąś część pieniędzy za pracę w gospodarstwie, a i zabije się świniaka to i boczek, smalec i rąbanka nas nie ominą.

Na przejazd potrzebny był jakiś dokument, który w Miechowie dostaliśmy po uiszczeniu dosyć wysokiej opłaty i po daniu temu, który ten dokument sporządzał sporej ilości jaj, masła i rąbanki. Jedzenia w domu pp. Rolków nie brakowało. Ich chęć pomocy nam otwierała spiżarnie i zasobną piwnicę. Nasz ślad w Rzerzuśni i w gospodarstwie państwa Rolków pozostał trwały i zauważalny. Kiedy kilka lat po wojnie pojechalibyśmy tam w odwiedziny, poznawaliśmy to, co ojciec z bratem zrobili, wybrukowali, wymurowali, a i ludzie pokazywali nam fotografie przez brata zrobione. W Rzerzuśni ukończyłem trzecią klasę szkoły powszechnej i w końcu czerwca 1940 roku przystąpiłem do Pierwszej Komunii Świętej.

W dniu 12 października przyjechaliśmy do Mielca. Wcześniej już ojciec z bratem zawieźli tam znaczną część naszych bambetli. Przyjechaliśmy późnym popołudniem D-Zugiem z Krakowa. Mała

stacja, przed nią podwoda, ładujemy się i jedziemy. Przyjechalśmy do miasta, w którym działo się będzie dużo, pełnego konspiracji i walki z okupantem.

Furką jechaliśmy dosyć długo, obok bloków fabrycznych, dużej, piaskowej góry, do wsi Cyranka, do chaty z drewna. Czysta, solidna, pusta i zimna – czekała na nas. Wynajęliśmy jedną dużą izbę z piecem kuchennym, takim typowym dla tamtych stron, z przyległą do niego komórką. W „kuchni” spali Rodzice i tam spędzaliśmy cały dzień. W komórce na zbitym z desek piętrowym łóżku spałem ja z bratem. Było to małe pomieszczenie z małym uchylanym pod sufitem oknem.

Zarówno w Rzerzuśni, jak i tu w Cyrance (mówiło się na Cyrance) ludzie nam bardzo dużo pomagali. W Rzerzuśni podarły się buty. Natychmiast dostałem po moim rówieśniku, Staszku, buty z cholewami. Z Poznania zabraliśmy wszystko z wyjątkiem prześcieradeł, ale zaraz po przyjeździe gospodyni dała nam. A utrzymanie, wyżywienie, opał, ubranie do robót w gospodarstwie. Wtenczas nieznanne były gumki, więc do pracy w polu zakładano cholewy, jakich gospodarze mieli pod dostatkiem. A i tu w Mielcu, na Cyrance, na każdym kroku ktoś z czymś przychodził do nas. Nikt z nas, naszej rodziny nie odczuwał tego jako żebranie, jałmużnę. To było dzielenie się Polaka z Polakiem, aby każdemu z nas ułatwić przeżycie tego „krótkiego” okresu wojennego. Byliśmy bez mebli, bez sprzętów do spania, siedzenia, gotowania, jedzenia. Wszystko zrobiono z desek, darmowo nam danych, garnki wypożyczono. Talerze kupiono. Nawet firanki i zasłony na okna, obrus i wycieraczkę dobrzy ludzie, Polacy, dali Polakom.

Ojciec i brat natychmiast rozpoczęli pracę w Werku. Fabryka, nasze Polskie Zakłady Lotnicze, nazywała się teraz „Flugzeugwerk-Mielec” – „Heikelwerke”. Ojciec dostał pracę w Zespole magazynów, a brat w hali „Rep A” (Reperatur Abteilung) w Radio-Funk-Stelle. Ja biegałem do miasta do szkoły, która mieściła się obok kościoła przy ulicy Kościuszki. Tam ukończyłem klasę czwartą i piątą. Na tym moja edukacja wojenna zakończyła się. Ta w szkole pobierana. Uczyłem się jeszcze, ale o tym później.

Po przemarzniętej w drewnianej chatce zimie, dobrzy ludzie z kręgu ojca załatwiają nam mieszkanie w blokach na osiedlu fabrycznym. Mieszkamy teraz pod adresem Mielec, Werksiedlung Block 16 m 5. Są to dwa pokoje, kuchnia i łazienka. My dostajemy jeden (większy w kształcie litery „L”), a w drugim zakwaterowała się duża, gruba pani, której nie lubiłem i trochę bałem się z racji jej zawodu. Była to nauczycielka ze Żnina. Też tak jak i my wysiedlona. Teraz, tutaj w Mielcu, pracowała w księgowości. Nazwiska ani imienia już nie pamiętam. Z relacji Mamy wiem, że była to wyjątkowo czułością kobieta, bardzo nam pomagająca, z którą żyliśmy się tworząc jedną rodzinę. Mielec był pełen wysiedlonych z Poznania i całego Wartegau. Miejscem zamieszkania większości poznaniaków było duże, ładne gimnazjum. Po wojnie wmurowano w nim nawet tablicę upamiętniającą pobyt w nim bezdomnych, wyrzuconych i okradzionych z mienia poznaniaków.

Flugzeugwerk zatrudniał bardzo dużą liczbę ludzi. Byli to mieszkańcy bloków, okolicznych wsi, baraków hotelowych, obozu żydowskiego i jakaś część mieszkańców miasta (Mielca). Z Werku do bloków było około 3 kilometrów. Z bloków do miasta, dalsze trzy kilometry. Stąd, z racji odległości, mieszkańcy „miasta”, starali się o pracę w różnego rodzaju „Amtach”, „Werkaustelach”, sklepach, na poczcie, stacji kolejowej czy w „Soldatenhausie”. Poza Werkiem innej fabryki czy zakładu przemysłowego w Mielcu nie było. Taki układ powodował, że mieszkający w „mieście” poznaniacy integrowali się z rdzennymi mieleczanami. Natomiast my „blokowi” z tymi, którzy „na blokach mieszkali”. A mieszkali tam przede wszystkim ci, którzy przyjechali przed wojną w latach 1936-1939 budować Polskie Zakłady Lotnicze. Byli to ludzie z całej dosłownie Polski.

I jeszcze jedno. W „mieście” mieszkali Żydzi. Było ich bardzo dużo. „Na blokach” ich nie było. Werksiedlung był „aryjski”, jak to wtenczas określano. W mieście każdy Polak otrzymywał z Landratsamtu tekturową kartkę z pieczętką gapy i napisem „Arische Haus”. Zobowiązany był ten dokument umieścić albo w oknie albo na drzwiach. Było to pierwsze, wstępne przygotowanie organizacyjne Niemców do wyrzucenia wszystkich Żydów do getta. „Na blokach” takie kartoniki nie obowiązywały. To wszystko funkcjonowało do marca 1943 roku, kiedy to w Mielcu, w „mieście” zaczęto wysiedlać Żydów. Moje wspomnienia piszę z poziomu i obserwacji wówczas 10-letniego dzieciaka. Pomimo, że teraz wiem dużo więcej szczegółów z tamtego okresu. Pomimo że niektóre wydarzenia miały inny przebieg, to w mojej relacji jest to co widział, czuł i zapamiętywał 10-12 letni chłopak.

O likwidacji Żydów w Mielcu u nas „na blokach” różnie mówiono. A to, że Polacy dużo od Żydów przyjęli na przechowanie, a to, że ich – to znaczy Żydów – mieszkania przejęli Polacy z meblami, pościelami i... wszami. W każdym bądź razie mało (przypuszczalnie) było takich Polaków, stałych mieszkańców Mielca, jak i wysiedlonych, których eksmisja Żydów bardzo by bolała. Może tych z gimnazjum? Budynek był usytuowany trochę z boku i nie widzieli oni bezpośrednio i bezpośrednio nie korzystali z żydowskiego „spadku”.

Taki był Mielec. Jakby dwumiastowy. Inny „na blokach” i inny w „mieście”. Inne grupy towarzyskie, przyjacielskie tworzyły dzieciaki, inne dorośli. Takie tworzone też pozory. Mielec to silny ośrodek partyzancki. To prężny wywiad Armii Krajowej, grupy dywersyjne, podchorążówka, oddział leśny „Stalowego”. Rejon działania „Jędrusia”. Hufiec harcerek, męski i żeński, tajne nauczanie. To także

BCh i trochę – po wojnie rozdmuchanego działania lewicowej Armii Ludowej. Mielec to także fabryka samolotów, to duże wojskowe lotnisko, to także bardzo ważna „Blizna”, fabryka „Lignoza”, dużo wojska, Flaków i spore transporty kołowe przewalające się przez to miasto.

Przywieziono tutaj kilka transportów myślących ludzi z Poznania, Wielkopolski, Bydgoszczy i Pomorza. Nauczycieli, kupców, wojskowych, lekarzy, księży. Cały ten Untermenschen Volk wymagał nadzoru, inwigilacji, kapusiów. Rozbudowano siły policyjne. Sztucznie zrobiono podział na „miasto” i „bloki”. Chodziło o stwarzanie antagonizmów między mieszkańcami i pracującymi w fabryce. Flugzeugwerk miał największą ze wszystkich fabryk w GG liczbę niemieckiego personelu.

Wokół Mielca lotnisko fabryczne zamienione zostało na wojskowe z dużą liczbą samolotów, personelu latającego, obsługi i wartowniczego. Niedaleko od miasta SS-Truppen Ubung Platz, Artilerii Truppen-Ubung Platz, Fabryka Chemiczna. Cały zresztą Centralny Okręg Przemysłowy, skupiony w widłach Wisły i Sanu, pełen jest fabryk, Niemców i Polaków i tych, których trzeba pilnować. Potrzebne do tego są duże siły policyjno-porządkowe, środki szybkiego przenoszenia tych grup agresywnego reagowania.

W tych to warunkach działa i odnosi znaczące wyniki wywiadowcze, sabotażowe i zdobywcze Armia Krajowa, jej pomocnik jakim była zakonspirowana drużyna, a później hufiec harcerzy, a także Narodowe Siły Zbrojne, Bataliony Chłopskie i zawodowy wywiad angielski. Do naszego domu coraz częściej przychodzą różni ludzie, którzy są znajomymi ojca z pracy. Nas, raczej mnie i o ile byli u mnie koledzy – wygania się do zabawy na dworze (mówiło się „idź na pole”). Często ojca nie ma w domu. Brat po pracy biegnie do miasta (później dopiero dowiedziałem się, że spieszył się zawsze na kurs podchorążówki). W naszym domu, w mieszkaniu w „dużym” pokoju, przez nas zajmowanym, wieczorami wysuwało się parapet spod okna i wyjmowało gruz. Tworzono w ten sposób skrytkę na dokumenty i broń. Skrytka miała takie zmyślne zamknięcie, a jej otwarcie możliwe było jedynie po otwarciu okna i wyciągnięciu dwóch bolców spod parapetu zewnętrznego. Wyjmowany gruz wkładano do dużych, papierowych toreb (tytek) i zabierano do Werku. Jedną mama wynosiła do lasku, znajdującego się tuż przy naszym bloku, a jedną ja idąc do szkoły. To była także moja praca na rzecz Polski. Moja pierwsza czynność. Początek drogi jaką będę przebywał aż do wejścia Rosjan.

Praca w Werku trwała od 7.00 do 17.05. Te ostatnie pięć minut przeznaczone było rzekomo na uporządkowanie miejsca pracy i mycie. Przebranie się następowało dopiero po tym czasie. Oczywiście urzędnicy byli przy bramie wcześniej. Robotnicy dopiero 20-30 minut po syrenie. Odległość z Werku do bloków wynosiła około trzech kilometrów. Po piątę, mamy, żony, dzieci wypatrywały bliskich. Pierwsze pokazywały się pojedyncze rowery. To była elita urzędnicza. Dalej rowery już w większej liczbie i pojedyncze piesze osoby. Za nimi dopiero maszerował główny nurt pracowników. Każda z wypatrujących swoich wiedziała, w jakiej grupie winien być ten, na którego czeka się ponad dziesięć godzin. A jak minęła ta grupa, w której winien przyjść i nie było go to, znaczyło to, że coś się stało. Wypadek albo aresztowanie!

Tak było i u nas w domu. Już powinni być. Brat na rowerze, a ojciec pieszo. Ale nie ma ich! Pukanie do drzwi. Mama biegnie, otwiera. Stoi jeden z licznych znajomych. Niech pani tylko nie płacze. To być może pomyłka. Przyjechali z Gestapo do Werku. Był ich pełen autobus i dwie ciężarówki. Wybrali około 60 osób, tuż przed przerwą obiadową. Zawieźli ich do Zimmermanna (szef mieleckiego Gestapo). Aresztowano dużą grupę ludzi. Kto zdradził? Gestapo szaleje. Rewizje po domach. Przesłuchania na terenie Werku w pomieszczeniach Werkschutzleitungu. Bicie. Gotthold Stein – szef Werkschutzu zadowolony, że wykrył spisek polskich bandytów. W domu rewizja. Szukają, przewracają cały dom „do góry nogami”. Nie znaleziono niczego. Niczego także nie można podać do więzienia na ulicy Piusa.

Mama drżała, aby w czasie rewizji nie wpadł im pomysł odsunięcia parapetu. Tam bowiem była skrytka z dokumentacją i bronią. Ale nie, wprawdzie oglądali parapet, nawet od spodu, jednak zakute w stalowe hełmy łby nie były aż tak bystre. Zresztą gdyby nawet parapet odsunęli do wnętrza pokoju to gruz przykrywający właściwy schowek był tak „naturalny”, że nie mógł wzbudzić podejrzeń.

W fabryce dokładniejsze sprawdzanie Ausweisów. Zegar wybierający do rewizji pracowników ustawiony na częstsze dzwonienie. Przesłuchania. Docierają do nas jakieś fragmenty, jakieś niesprawdzone wiadomości z więzienia, z Gestapo. Kapuś podobno nazywał się Pollak i mieszkał w Chorzelowie. Już tam nasi pojechali. Już wiedzą jak wygląda. Leśni prawdopodobnie wezmą go jako zakładnika. Kto jednak będzie chciał wymienić kapusia na prawdziwych Polaków?

Tymczasem w więzieniu na jedną noc dostają się do jednej celi ojciec i brat. Rozmawiają całą noc, przekazują sobie to wszystko co wiedzą. Być może któryś z nich wyjdzie. Czy to przypadek czy specjalnie, czy też któryś z klawiszy wiedząc, że to ojciec i syn, powodują takie przemieszczenia więźniów, aby ojciec mógł pożegnać się z synem. Nie mógł widzieć żony, uścisnąć Jej, pożegnać, niech więc przekaże to pożegnanie synowi. Rano rozdzielają ich. Ojciec przeznaczony jest do transportu do Tarnowa, a brat do Dębicy.

Pierwsza partia odjeżdżała rano. Bardzo wcześnie. Skąd mama dowiedziała się o godzinie wywózki – nie wiem. Jechali ulicami: Kościuszki, przez Rynek, Legionów, na most na Wisłoce i na szosę

Tarnowską. Plandeki szczelnie zasznurowane, samochody wiozące więźniów w licznej eskorcie żandarmów. Około południa wyjechali. Wywieziono drugą część tych kierowanych do Tarnowa.

Po drodze, na około 20 kilometrów od Mielca, drugi transport dostaje silny ostrzał partyzantów, co zmusza kolumnę do zatrzymania się. Więźniów uwalniają. Część z nich idzie do lasu. Bardziej przepłoszeni, bojaźliwi, wracają razem z eskortującymi ich przed chwilą żandarmami – teraz w gaciach i bez broni – do Mielca. Ojca wywieziono rano. W tej kolumnie nie było go. Jak należało przypuszczać, to ich obciąża się za ten „bandycki” napad, wywozi za miasto i rozstrzeluje. Minęły lata, pamięć ze sprawnej staje się, jeszcze dobra”. Dlatego nie potrafię powiedzieć, ilu było w grupie pierwszej, ilu w drugiej. Ilu uwolniono i poszło do lasu, a ilu z żandarmami wróciło do Mielca. Gdzieś mgliście świta mi, że wróciło siedmiu żandarmów i sześciu wywożonych.

Brat w Dębicy przesiedział ponad miesiąc i puścili go. Nie był wmieszany w działalność konspiracyjną, a jedynie to samo nazwisko stało się powodem aresztowania. Do uwolnienia brata przyczynił się – za finansowym poparciem Mamy – jego majster z Radio-Funk-Abteilung. Był to na tyle „porządny Niemiec” z Bawarii, że pozwalał na słuchanie radia w czasie godzin pracy. Naprawiając we wcale nie uszkodzonych radioodbiornikach części, takie czy inne, „jeżdżono” po skali, wybierając to, co Polaka interesowało. Także wieczorem pozwalał przychodzić do swojego mieszkania w bloku nr 3 na I piętrze, gdzie przy Volksempfängerne zbierała się grupka chętnych słuchania BBC. Rewanżowano się temu „dobremu” szkopowi zabieraniem go w sobotę po pracy rowerami na wieś.

Brakowało jedzenia. Gospodarzom po wsiach brak było odzieży, gwoździ, blachy, młotka, siekierki i wielu, wielu innych przedmiotów jakie „skombinować” można było w Werku. Młodzi i starzy posiadający rowery umawiali się przed bramą w każdą możliwą do jazdy sobotę i jechali. Rodziny przychodziły przed bramę i z domu przynosiły to, co uzbierano do handlowania. Byliśmy w trochę lepszej sytuacji od innych, bowiem od czasu do czasu nasza rodzina pozostawiona w Poznaniu przysyłała nam paczki odzieżowe. To co w nich było zamieniano na jedzenie. Po skompletowaniu ekipy, odebraniu od żon, matek przyniesionych bagaży jechano przez las o nazwie Czekaj w rejon gminy Trzeźni. Dzisiaj już nie pamiętam nazw wsi przez jakie przejeżdżano.

Wtenczas, kiedy zabrano tego Januszowego Niemca ledwo mineliśmy las, a tu w polu stoją w polskich mundurach, z karabinami i schmeiserami. Kto, kim jesteście, sprawdzanie bagaży, wrywkowo ausweisów. Jedziemy dalej. „Nasz” Niemiec pierwszy raz sobaczył tych, o których nie mówiono w jego gronie inaczej jak Banditen. A byli to młodzi, porządnie ubrani, czysti i zadbani, a na dodatek dobrze uzbrojeni ludzie.

Każdy, czy każda grupa miała już „swoje” wsie, a w nich „swoich” gospodarzy. I my mieliśmy takich. Pamiętam, że w tym dniu był straszny upał. Przyjechaliśmy, napiliśmy się mleka czy maślanki, rozłożyliśmy „nasz towar” i sprzedajemy jak ci z czasów przedfenickich. Najdroższe były zawsze i najczęściej można było otrzymać za strzelające nity, gwoździe i oczywiście narzędzia, takie jak piła do drewna, duża siekiera, zapalki, nafta, karbid (do karbidówek – lamp oświetleniowych), no i najważniejsze – odzież.

Wszystko co otrzymano z żywności trzeba było zapakować, a najczęściej kłopotu było z jajami. Wracaliśmy natychmiast do domu. Przejechać trzeba było w drodze powrotnej koło fabryki. W tej części, obok której przejeżdżaliśmy, mieścił się obóz żydowski i kręcenie się o zmroku w jego pobliżu było bardzo niebezpieczne. Pilnujący Żydów Ukraińcy strzelali bez ostrzeżenia do każdego, kto ich zdaniem był zbyt blisko parkanu. I to obojętnie, czy z tej czy z tamtej jego strony.

„Nasz” Niemiec kupił gęś, co było szczytem marzeń każdego szwaba w GG. Jechał do Reichu na urlop i chciał coś zabrać familii. Dzisiaj już nie potrafię powiedzieć dlaczego był on dla nas, dla sporej grupy Polaków taki przyjazny. Dlaczego nie był w Wehrmachcie i jak się nazywał. W każdym bądź razie na pewno przyczynił się do tego, że brata wypuścili z Dębickiego Kriminal Zughausu. Od dnia wyjazdu „nasz” Niemiec już nigdy nie używał słowa „Banditen” i przypuszczalnie zrozumiął, że przekazywany mu przez niemiecką propagandę obraz „lasu” jest zupełnie inny i że Polska tam właśnie żyje!

Po aresztowaniu ojca i jego przewiezieniu do Tarnowa mama dostaje Benachtrichtigung, że zgodnie z Rundlauf Nr 41/42-G.Z.II 5770 der Regierung des Generalgouvernements-Hauptabteilung Arbeit – doprowadzić ma syna Richarda do Arbeitsamtu in Mielec. Syn tego Polnische Banditen skierowany zostaje do pracy na roli. Landarbeitsaktion 1942: hier: Einsatz vom Jugendlischen in der deutschen Landwirtschaft.

Matka, przerażona tragicznym rozstaniem z trzecią osobą w rodzinie, uruchamia wszystkich znajomych ludzi z AK, sąsiadów, u których mieszkał szef Mielecko-fabrycznego S.A., Muller, obcych, wszystkich którzy mogą nam pomóc. Udaje się! Nie pojedę do żadnego bauera, do żadnego Reichu, pozostaję w Mielcu z Mamą. Muszę jednak rozpocząć pracę w Werku, w Flugzeugwerk Mielec. Jakby tego nieszczęścia jeszcze było mało, otrzymujemy wiadomość, że przebywający w tarnowskim więzieniu Polacy, a wśród nich i mój ojciec, któregoś tam dnia prowadzeni będą na rampę dworca towarowego, ładowani do wagonów i wywiezieni do Oświęcimia. Co to jest Oświęcim to już wiedzieliśmy. „Gazetki”

informowały społeczeństwo polskie o tym obozie zagłady. Mniej i niedokładnie mówiło o nim BBC, którego słuchanie było wieczornym rytuałem.

Mama sprzedaje srebrną cukiernicę, odpruwa z płaszcza guziki robione z „markówek” obciążonych materiałem i jeszcze to i tamto. Mnie daje pod opiekę pani ze Żnina i jedzie do Tarnowa. Tam wynajmuje pokój, a właściwie okno w domku, przy ulicy w pobliżu więzienia z widokiem na trasę do dworca towarowego. Tam to otrzymuje pewną już informację, że pojutrze skoro świt wyprowadzać będą naszych na stację.

Idą. Z tarnowskiego więzienia maszerują do Oświęcimia Polacy! Silna eskorta z psami nie pozwala na zbliżenie się kogokolwiek. Strzały do okien, w których pojawia się ludzka twarz lub, co nie daj Boże, jest otwarte. Maszeruje kolumna zniszczonych, skatowanych, chudych, bez płaszczy. Maszerują do bydłych wagonów, gdzie ubici, zgnieci, pod silną eskortą pojedą do miejsca stracenia.

Gdzieś tam na trasie tego marszu, w jakimś oknie w domu dobrych ludzi, za firanką, stoi matka. Zza firanki żegna męża, ojca ich dzieci, człowieka z którym utworzyła szczęśliwą rodzinę i przeżyła tyle wspólnych lat. Żegna kolumnę, a w niej Stacha. Trudno było rozróżnić wśród tych zniszczonych ludzi kogokolwiek. Trudno byłoby doszukać się jego. Ona jednak widziała go. To był na pewno on. Tak mogą spotkać się tylko ludzie wielkiej miłości. Czy była to miłość? To był nawet kryształ miłości!

W czasie, kiedy Mamy nie było w domu, kiedy żegnała ojca w Tarnowie, kiedy już go oplakiwała i zboląła, zrozpaczona jechała do tego, który jeszcze jej został – do mnie, ja rozpocząłem pracę zawodową. Mając dwanaście lat poszedłem sam do Werku, do Personalabteilundu fur Pole, którego kierownikiem był pan Kania. Wypisywałem, podpisywałem, dawałem i dostawałem i sam już nie wiem co. Zostałem pracownikiem. Było to 20 marca 1943 roku. Otrzymałem Ausweis i Kennmarke o numerze 6960. Od tej chwili we wszystkich ewidencjach tak zwanej Adremastehle byłem już nie Rysiem Ratajczakiem, ale Bote 6960. Zatrudniony zostałem w Botenmeisteri, którego kierownikiem był pan Wiśniewski. Centrala gońców mieściła się w Verwaltungsgebäude, na parterze, na wprost głównego wejścia. Szklana, przednia ściana nie pozwalała na ukrycie się i chwilę odpoczynku. Spiralnie prowadzące schody na piętro, były platformą widokową na naszą bodenmajsterówkę. Mieliliśmy jeszcze jeden pokój – szatnię. Wolno było jednak tam wchodzić tylko rano, aby pozostawić śniadanie, w czasie jego spożywania i na fajrant. Pan Wiśniewski zamykał pomieszczenie na klucz i nawet jeżeli ktoś z nas musiał tam wejść w czasie dnia, to tylko z nim. Korytarz na lewo zajmował Werkschutzleitung i SD, a także centrala telefoniczna. Korytarz po prawej stronie budynku – z początku Wekaufabteilung z szefem – Niemcem Grosmanem. Pierwsze piętro na lewo to dyrektorzy, na prawo Eikaufabt. i Technischeabt.

Do moich obowiązków należało obnoszenie dużej, zielonej, ciężkiej torby pełnej przegródek po wszystkich oddziałach fabryki. Jeden raz szedł ze mną, po raz pierwszy i ostatni, starszy „bot”. Pokazał mi, gdzie trzeba wejść, co z torby wyjąć i położyć w pojemniku Post-Ein oraz gdzie wkładać, w jakie przegródki w torbie tę korespondencję, jaką wyjąć z pojemnika Post-Aus. Przeszkolenie to obejmowało też informację, gdzie trzeba powiedzieć Guten Tag, gdzie dzień dobry, ile razy dziennie i komu. Nieprzestrzeganie tego obowiązku groziło otrzymaniem w pysk i koniecznością kilkakrotnego wejścia do tego samego pokoju. Niestety dotyczyło to pomieszczeń, gdzie trzeba było mówić Guten Tag, ale i dzień dobry.

Pracę rozpoczynałem o 7.00, a kończyłem o 17.05. W tym czasie obejść musiałem sześć razy Werk. Dwa razy do śniadania, dwa przed i dwa po obiedzie. Przed fajerantem musieliśmy zamiatać hall i schody przed budynkiem. Zimą odgarnąć śnieg, a w każdą sobotę, zamiast 6 tur z tą przeklętą torbą, robiliśmy tylko 5, ale musieliśmy za to szorować kamienną posadzkę hallu. Była to bardzo ciężka praca, jak na 12-letniego chłopca. Ciężka torba, wiele kilometrów po fabrycznych drogach i korytarzach. Nazwy poszczególnych abteilungów tak wbiły mi się w pamięć, że do dnia dzisiejszego znam ich nazwy, skróty, symbole po polsku i po niemiecku. Ostatnią turę kończyliśmy szybciej. Już było mniej korespondencji. Już niemieckim kancelistkom, sekretarkom nie chciało się pisać, a nasze panie to już od obiadu w biurach w zasadzie nic nie robiły. Po zdaniu poczty w sekretariacie, oczyszczeniu torby, sprawdzeniu jej czystości przez Botemajstra pana Wiśniewskiego lub przez najstarszego z nas, Tadka (nazwiska nie pamiętam), siadaliśmy na ławeczkach naprzeciwko botenmeisterówki i czekaliśmy aż na zegarze wskazówki pokażą 17.04. Wstawaliśmy wtenczas z ławki i jak zawodnicy do biegu przygotowani byliśmy do startu na sygnał syreny. Jej ryk o 17.05 był początkiem biegu do zegara, odbicie karty i jak najszybciej do bramy. Biegliśmy jak wystrzeleni z procy po to, aby nie tłoczyć się przy wybierakach do rewizji, jaki każdy z pracowników musiał nadusić. Wachtmani znali nas i często, a raczej zawsze, tę najmłodszą w Werku grupkę pracowników przepuszczali bez konieczności duszenia na przycisk wybieraka rewizyjnego. Jeśli nic i nikt mnie nie zatrzymał, biegłem z chłopakami na bloki, do domu. Kiedy musiałem posprzątać botenmajsternię, to czekałem na brata, który wychodził później – pracował w hali Repa oddalonej od bramy o około 500 m. Czekałem kiedy wyprowadzi rower i „na rurze” pojedą do domu.

Od ojca z Oświęcimia dostaliśmy tylko cztery listy. Te dziwnie składane listy – koperty przechowujemy w rodzinnym skarbczyku jak najdroższy skarb. Pisane kopiowym ołówkiem. Pierwszy czytelny, trzeci już mniej, a czwarty przez kogoś innego pisany. Nie było już więcej listów dziwnie składanych z pieczętką „Gepriift-4” K.L. Auschwitz. Kilka dni po ostatnim liście ojca dostaliśmy Vorladung na Gestapo. Pełna strachu i obaw o mnie, poszła mama w piątek 7 lub 9 lipca 1943 roku do tego przedpiekła na ziemi. W wartowni sprawdzono wezwanie z personalausweisem i wydano kopertę zaklejoną, którą kazano otworzyć dopiero w domu.

Kopertę otworzyliśmy u znajomych w mieście. Sterbeuhrkunde... Na ulicy obozowej w mieście Oświęcimiu, na zapalenie płuc zmarł więzień Stanisław Ratajczak rocznik 1896. Zapomnieli dopisać ci bandyci XX wieku, że to oni go zabili. Oni – ci Kulturtregerzy z napisem „Got mit Uns” na kopelklamrze.

Kilka dnia później wrócił z więzienia w Dębicy brat. W tym czasie odwiedzało nas wielu znajomych, obcych, panów z lasu i z bloków. Każdy coś przyniósł, coś ofiarował. Będę zresztą dalej o tej pomocy mówił, o pomocy, jaką wszyscy okazywali rodzinie zamordowanego przez Niemców. Ileż to razy w czasie wojny, w sytuacjach beznadziejnych, ktoś nas wspomagał, podał przyjacielską dłoń. Pomógł coś załatwić, kupił drewna na opał, węgla, mydła. A ja, a my nawet nie pamiętamy, kto to był, jak się nazywał, gdzie mieszkał...

Smutne to były dni. Każdego dnia rano o 6.00 pobudka. Z zaspanymi jeszcze oczyma na „rurę” roweru brata, trochę jeszcze drzemki na tej „rurze” i do Werku. Pracę rozpoczynaliśmy o 7.00. Do tej godziny trzeba było być przebranym i w szeregu z torbą stać w hallu, przed botenmaisternią do przeglądu. Rozdzielenie prac i z chwilą buczka syreny marsz w turę. Ileż to razy nosząc ciężką zieloną torbę chlipałem, popłakiwałem. Zazdrościłem tym chłopakom, którzy nie muszą chodzić do pracy. Śpią sobie długo, chodzą do szkoły, grają w palanta, zgwizdują się na zbiórki niby konspiracyjne. Starsi ode mnie chodzą na komplety. Latem po pracy biegliśmy jeszcze nad Wisłokę wykąpać się, pobawić w „policjantów i złodziei”. Ale zimą?!

Myśląc tak niosłem od działu do działu ciężką zieloną torbę i tam, gdzie trzeba było mówić Guten Tag mówiłem dzień dobry i na odwrót. Tu dostałem w papę, tam u Polaków kromę chleba, jabłko, które było rarytasem, często kawał cukrówki (buraka cukrowego). I tak płacząc, zazdroszcząc chodziłem i nosiłem, roznosiłem te papiery. Zimą przychodziła do nas mieszkająca na parterze pani Ossowska. Opowiadała kto to był Jagiełło, kto walczył i z kim. Pisz ładnie, nie śpij, skup się przy lekcjach, brzydko piszesz, znowu nie umiesz ułamek. Boże, jak ja tej pani Ossowskiej nie lubiłem. Zamiast pisać, czytać, myślałem o kolegach, o chłopakach, bawiących się. Tak jednak musiało być. Teraz wiem, że przed nią za jej pracę nade mną powinienem chylić czoła! Chylę!

Odwiedzali nas różni ludzie, życzliwi, pomocni, zainteresowani tym, jak żyje rodzina tego wspólnie z nimi działającego w konspiracji. Byli jednak i tacy, którzy mówili „i po co wam to było”. Najgorsze było to, że takie wypowiedzi padały z ust stosunkowo bliskich nam i niestety także rodziny.

Kiedy po latach rozważam ten czas, to przekonany jestem, że nie było chwili, okresu, kiedy byłbym bez opieki. Kiedy nie miałbym się w co ubrać czy nie mieliśmy co włożyć do ust. Wszyscy ci dobrzy ludzie uważali za swój obowiązek podzielić się swoją „miernotą” z nami, z rodziną partyzanta zamordowanego przez Niemców. Były to Lebensmitelkarte, Bekleidungskarte, a nawet Reisenkarty, za jakie w osiedlowej Werkaustehle Fur Polen otrzymać można było jedzenie i odzież. Bardzo interesowało odwiedzających nas, co robię. Wprost drobiazgowo musiałem im opowiadać co noszę, z jakiego działu do jakiego, że także Personalabteilung fur Deutsche korzysta z poczty wewnętrznej, Werkschutzleitung, obóz żydowski. Pytali czy koperty są zaklejane, teczki plombowane. Czy istnieje możliwość wyjęcia takiej koperty czy teczki i ominięcie jednej czy dwóch tur. Zaproponowali mi, abym jedną, dowolną kopertę pozostawił w torbie przez kilka tur. Jeśli uda się, to może nawet do następnego dnia. Chodzi o to, czy ktoś zainteresuje się, że nastąpiło opóźnienie w dostarczeniu korespondencji.

Postąpiłem tak jak mi polecono. Pies z kulawą nogą nie zainteresował się, że coś tam nie dotarło gdzie dotrzeć miało. Niemki aż takie pracowite nie były, aby czekać na robotę. Im później dostaną jakiś paperek, tym więcej teraz będą miały czasu na opowiadanie sobie nawzajem o swoich bohaterskich chłopcach, przeganiających Rosjan po stepach Rosji. Zresztą Ostfront był tematem stale poruszonym. W każdym szwabskim pokoju była mapa Grossdeutschlandu z „przyległościami”. Wbijano tam szpileczki z kolorowymi łebkami, przeciągano różnobarwne nitki, tasiemki. Zaznaczano pola naftowe...

Próba udała się. Moją pracą, noszeniem przekłetej, ciężkiej torby nikt się nie zainteresował. Znajomy brata zaproponował, abym w czasie przedobiadowej tury przyszedł do Personalabteilungu dla Polaków, którego kierownikiem był pan Kania. Oddział ten mieścił się w baraku, przy bramie głównej. Wchodziło się do niego z tzw. szczytu, tuż przy wartowni i z boku od strony straży pożarnej. Po lewej stronie (od szczytu) mieścił się w długiej, kiszkowatej części, oddział personalny dla Polaków. Po stronie prawej dla Niemców. Był on jednak o połowę mniejszy. Ta część miała dwa pokoje, jeden za drugim. W pierwszym siedziały dwie Niemry, a w drugim bezręki Leiter. Oddział Polski nazywał się w skrócie Pepo, a niemiecki Pede. W polskim biurze siedziało kilku panów, wszyscy twarzą skierowani

na kierownika (pana Kanię). Ostatnie biurko stało na podwyższeniu, coś jakby scenka małych rozmiarów. Siedział tam zastępca kierownika. Jego rolą było patrzeć na pracowników z tyłu. Obok jego „narzędzia pracy” były drugie drzwi, prowadzące na korytarz. Pierwsze drzwi (przy panu Kani) otwierały się do wnętrza pokoju, a drugie, te na podwyższeniu, na zewnątrz. Miało to tę dobrą stronę, że widząc przez okno zbliżającego się szkopa, stawało się przy dalszych drzwiach. Kiedy on otwierał drzwi, zasłaniał nimi salę – widział kierownika. W tym momencie można było otworzyć drugie drzwi i wyjść. Następne drzwi, na korytarzu prowadziły do WC. Układ drzwi powodował, że stojąc przy wejściu do baraku, dzięki zasłonie jaką tworzyły drzwi, nie było widać kto wychodzi z Pepo.

I jeszcze jeden szczegół. Biurka były potężne. Przed siedzącym znajdowała się wieloprzęgródkowa półka-gablota. Cała górna część zamykana była żaluzjową zasłoną. Boczne szuflady w kilku biurkach były skrócone po to, aby za nimi stworzyć skrytkę do przechowywania „trefnych” materiałów.

Tam to, w tym czysto polskim pokoju, nakarmiono mnie, położono pod biurkiem i kazano przespać się przez jedną turę. Moje „wypadnięcie” z kursu uzgodnione musiało być – tak przypuszczam – z panem Wiśniewskim. Po moim powrocie udał, że nie zauważył mojej jednej nieobecności. W czasie tego odpoczynku, przeglądano to wszystko co miałem w torbie. Z pewnością uznano, że warto mnie nakarmić i pozwolić na odpoczynek. Przenoszone dokumenty warte były przeczytania, może nawet skopiowania lub sfotografowania. To ostatnie trzeba by jednak zrobić na blokach (w domu) przy zasłoniętych oknach piwnicy. Przynoszenie aparatu fotograficznego do Werku, do fabryki samolotów i to w czasie wojny, było nadzwyczaj niebezpieczne. Korzystniejszym było wyniesienie dokumentu poza teren fabryczny.

Pomimo młodego wieku, tych zaledwie dwunastu lat jakie miałem, zdawałem sobie sprawę po co mnie karmią i pozwalają odpocząć. Wiedziałem, że korespondencja interesuje tych co ją przeglądają. A więc są to konspiratorzy, akowcy, Jędrusie. Proszę mi jednak wierzyć, że pomimo bardzo wzniosłych celów, dla jakich używano „mojej” torby i znajdującej się w niej korespondencji, dla mnie dużo ważniejsza była możliwość zrzucenia jej, zjedzenie pajdy chleba ze smalcem i spanie. Spanie i jeszcze raz spanie, którego zawsze miałem za mało. Pomimo aż tak „materialnego” zainteresowania się konspiracją, byłem świadomy tego, że jest to pierwszy krok w moim nowym teraz życiu.

Trudno mi z tak dalekiej perspektywy czasu powiedzieć, czy często przebywałem w Pepo. Nie posiadam kalendarza z tamtych lat i nie potrafię obliczyć dni świątecznych. Na pewno natomiast wiem, że w Boże Ciało chodziłem z tym moim ciężarem. Lato natomiast pamiętam już na innym „stanowisku”. To nie był żaden wielki awans. Z pewnością za sprawą tych, którzy grzebali w mojej torbie, przeniesiony zostałem do sekretariatu dyrektora Kleinmeiera jako Aussenbote. A było to tak. Rano jak zwykle pan Wiśniewski ustawiał nas w szeregu i wyznaczał „tury”. Tego dnia zamiast wyznaczyć mi numer tury, tzn. kolejność i czas, a także kierunek wyjścia (chodziliśmy jednego dnia wzdłuż fabryki, a następnego w poprzek), kazał biec na pierwsze piętro do skrzydła dyrekcyjnego i zgłosić się do Fraulein Trudi w sekretariacie dyrektora Kleinemeiera. Poszedłem pełen obaw, że zamiast noszenia torby, od której na ramieniu miałem już zdrapaną skórę, będę wykonywał jeszcze gorszą pracę.

Przed sekretariatem stał podobny do mnie, młody chłopak, Żydek z obozu żydowskiego, który mieścił się na terenie Werku. Ubrany był w czyste, niebieskie ubranie. Dalszych szczegółów jego ubioru już nie pamiętam. Ty też do Fraulein Trudi? – zapytałem. Nie. Ja tu pracuję. Ładna mi praca, jak stoi na korytarzu i nic nie robi. Zapukałem. Herein – usłyszałem. Dotychczasowy mój niemiecki ograniczał się do „Guten Morgen”, „Mahlzeit”, „Guten Tag”, ja, nein, danke i kilku jeszcze innych podstawowych słów. Wszedłem. Ze zdenerwowania zamiast Guten Morgen powiedziałem „Mahlzeit”. Ach to ty jesteś der Blonde Pole! Also, pójdziesz do Judenlagru do Schneiderei, oni już wiedzą, że tam się zgłosisz. Uszyją ci Blaue Anzug i komd du zurik. Czyś du hast ales verstand? Rozumiałem o co jej chodzi. Dlaczego ona jednak tak dziwnie mówi? Czy to jest po polsku czy po niemiecku? Później okazało się, że jest to dziewczucha z Konigshute – miasta na Śląsku. Po „takiemu” zresztą z nią później zawsze rozmawiałem, jak byliśmy sami.

Poszedłem do tego Juden Lagru. „Posta” już mnie znała, bo w moich turach każdego dnia sześć razy dziennie tam przychodziłem. Klein Richard wo hast du Ichre Tasche Verlieren. Ich bin heute als Kunde an gegomment! Majster krawiecki wiedział już, kto jestem i po co przyszedłem. Wziął mi miarę i powiedział, żebym przyszedł około fejerantu. Uszyli mi anzul podobny do tego, jaki miał żydowski chłopak stojący przed sekretariatem.

Cały dzień nic nie robiłem, siedziałem w sekretariacie i przeglądałem ilustracje „Adler”, „Für Diech” i jeszcze jakieś. To było takie nudne, że już sam nie wiedziałem, czy nie lepiej było chodzić w tury. Zawsze coś do jedzenia „skapło”. Z kolegami mogłem pogadać. W Pepo przespać się. No, ale dzień minął.

Nic z tych „materialnych” rzeczy jednak nie straciłem. Jadąc do domu „na rurze” z bratem przysłuchiwałem się rozmowie, jaką prowadził z jadącym równoległe z nami kolegą. Zrozumiałem z niej, że jak będę głodny lub jak będę przechodził w pobliżu domku ogrodnika, mam tam wejść

i zawsze jakieś pożywienie dla mnie się znajdzie. Wnioskowałem z tego, że moje przeniesienie z botenmaisterni do dyrekcji było bardzo starannie przygotowane.

Będąc na tzw. przesłuchaniu u sekretarki Trudi miałem czyste spodnie (oczywiście krótkie, bo wtenczas chłopcy tylko krótkie nosili), czyste kolanówki i czystą koszulkę. Umiałem kilka słów po niemiecku, wiedziałem z której strony podać szklankę wody, o którą mnie prosiła, podałem papierosy, zapaliłem zapałki i wykonałem jeszcze kilka kontrolnych testów, które wykazały, że mam tzw. kindersztubę. No i przyjęto mnie! Jestem Aussenbote. Będę woził, czy nosił pocztę do „miasta” i poza miasto. Innenbotem był ten młody Żydek, który dotychczas stał na korytarzu, przed drzwiami. Nie wolno mu było siadać. Zresztą nie miał na czym. Jak bolały go nogi, to kucał. Musiał jednak uważać, żeby w tej „kucance” żaden Niemiec go nie zobaczył. Natychmiast było lanie. Co gorsza, to „pozwalal” sobie nawet usiąść na podłodze i drzemać. Takie naruszenie niemieckich porządków karane było z całą surowością hitlerowskiego zwyczajów.

Ten dyrektor, chociaż Niemiec, nie był ostatecznie tak jak znacząca większość Niemców, ostatnią świnia. Za sekretariatem było małe pomieszczenie, malutki pokój z oknem, służący za szatnię i lumpenkamer. Tam składowano to, co dyrektorom i sekretarkom udało się kupić „na pasku” i co czekało na możliwość wywiezienia do Reichu. A że samoloty często kursowały do Uckerminde, więc kombinowane żarcie długo nie leżało. Tam to od następnego dnia po moim przyjeździe do sekretariatu, otrzymał lokum nasz Żydek, a także i ja. Mnie wolno było przyjść do sekretariatu, usiąść na krześle i przejrzeć gazety i ilustracje. Tam też, kiedy nigdzie nie wychodziłem, rozmawiałem z Trudi po śląsku, a później już tylko po niemiecku. W przerwie obiadowej Żydek szedł na obiad do Lagru, a ja do stołówki dla Polaków. Często, czy to dyrektorowi nie chciało się iść na obiad czy to sekretarce, po moim obiedzie musiałem z kokusierkiem maszerować przez pół Werku i przynosić im obiady. Miało to tę dobrą stronę – dla Żydka – że on mył te trojaczki. Zawsze w nich coś pozostawiali. Więcej jednak zostawiał dyrektor Kleinemeier aniżeli Trudi. Żydek pękał z przejedzenia, kiedy jedno z nich wyjechało służbowo czy też na urlop. Przynosiłem wtedy jak zawsze dwa obiady. Nie tylko nasz Żydek jadł. To co można było, pakował w gazetę i zanosił po pracy do obozu. Posty na bramie Lagru nie kontrolowały go, więc mógł dożywiać jeszcze kogoś. W każdą sobotę musiał maszerować do ambulansu, gdzie sprawdzano jego czystość, czy wszysy go nie „napadły”, czy paznokcie czyste, uszy, szyja. W tym dniu w ambulansie kąpał się w wannie.

Jaki był mój stosunek do tego Żydka? Ano taki jak chłopaka do chłopaka. Bez sentymentu, bez nienawiści. Oczywiście uważałem się za „lepszego”. No bo i do miasta jeździłem i z Trudi i jej koleżankami paplałem niby to po niemiecku i po pysku mnie nikt nie bił i sto było innych powodów, a wśród nich i ten, że nie byłem Żydem.

Dzień rozpoczynaliśmy o 6.55 przed drzwiami sekretariatu. Czekaliśmy aż przyjdzie Trudi. Mówiliśmy oddzielnie Guten Morgen (najpierw ja, a po mnie on). Sekretarka otwierała drzwi, wchodziła, a my za nią. On szedł do pokoiku i tam otwierał okno, a ja otwierałem w sekretariacie. W gabinecie dyrektora okno otwierała Trudi. Tam wchodzić nam nie było wolno. W czasie dnia pracy jak dyrektor wołał mnie to wchodziłem. Żydek jednak nigdy. Po otwarciu okien stawaliśmy w szeregu w sekretariacie i czekaliśmy na przyjeździe pana dyrektora.

Guten Morgen! Guten Morgen Herr Direktor. Podał sekretarce rękę. Na nas untermanschów nawet nie spojrzal.

Pracę mieliśmy lekką, a właściwie to nie była praca tylko siedzenie. Nosilem od pokoju do pokoju papierki i to tylko w budynku dyrekcyjnym, gazety, Ein Woche Romany. Biegłem na lotnisko. Tam już mojemu Żydkiowi nie wolno było chodzić. Lotnisko było już bowiem poza fabryką. Komendant Judenlagru nie tolerował gońca – Żydka u siebie, więc ja tam chodziłem. Wypytywał mnie jak tam sprawuje się die Junge Jude. Kann Sein, odpowiadałem. Kiedy Oberscharffuhrer Hering był w dobrym humorze wypytywał mnie, czy biję tego verfluchte Jude au der Schnauze. Ty mosz pierunie taki niemiecki aufziecht, to czymu twój fater był bandyta? Takie i podobne zadawał pytania, na które 12-13 letni chłopak nie potrafił odpowiedzieć. Ten cały Hering pochodził gdzieś spod Tarnowa i jak zrobił się volksdeutschem dostał się do SS i starał się „zasłużyć” na takie wyróżnienie. Po latach, czytając książkę Tadeusza Pankiewicza *Apteka w Getcie Krakowskim*, spotkałem to nazwisko. Jego „zasługi” w niszczeniu narodu żydowskiego i „honory”, jakie go za tę posłuszną służbę spotkały, szeroko tam opisano.

Wróćmy jeszcze raz do mojego stosunku do Żydka. Rano dawałem mu paczkę ze śniadaniem. Mama szykowała każdego dnia, przez wszystkie dni w jakie chodziłem do Werku, po dwie paczki. Jedną dla mnie, drugą dla... No właśnie, dlaczego stale mówię „Żydek”, a nie po imieniu. Miał na imię Jurek, pochodził prawdopodobnie z Wieliczki. Jego ojciec był nauczycielem, ale czego uczył to nie wiem. Uczył w gimnazjum, chyba w Krakowie. Zresztą czy takie dzieciaki interesowały się kim był ojciec, matka, babka. Najważniejsze było, żeby pobiegać, pogonić się, zrobić komuś jakiegoś psikusa, zrobić procę (sznajdere). On biegał po fabryce, ja poza nią. Jak była chwila wolna, to on uczył mnie grać w szachy albo niemieckiego, bo umiał i uczył się tego języka także wieczorami w Lagrze. Na obiad ja szedłem, a on biegł, bo Żydom nie wolno było po Werku chodzić. Musieli biegać! Po obiedzie trochę kimaliśmy.

Później on sprzątał sekretariat, wynosił śmieci, które przedtem segregował na makulaturę i Abfahle. Ja znosiłem do piwnicy maszynę do pisania i szedłem do chłopaków z botenmajsterówki i tam czekałem na najpiękniejszy sygnał dnia. Na syrenę ogłaszającą fajerant. A zatem sumując, ani Jurka specjalnie nie lubiłem ani nie nienawidziłem. Nie znałem co to rasizm, więc jak mogłem „stosować” go w życiu. Imię Jurek było dla Trudi możliwe do wymówienia. Natomiast inne szkopy miały z tym spore kłopoty. A ponieważ Jurek i Jude jakoś się zlewały, więc nasz Jurek został Judek. Przypuszczam, że Jerzy to nie było jego prawdziwe imię. Takie mu nadano, aby w przypadku wyjścia z obozu miał chociaż imię nie żydowskie. Jak się nazywał tego nie wiem. Być może mówił mi. Dzieciaki wołają jednak posługiwać się imieniem i to właśnie imię pozostaje w pamięci, a nie nazwisko. Tak jest i ze mną.

Wysyłano mnie do miasta: na pocztę Deutsche Ost Post, do Landratsamtu do Żandarmerii, na Gestapo, Stację kolejową. Jechałem wtenczas takim śmiesznym trójkołowym samochodem, o nazwie Trümpf lub Tempo, a kierowcą był pan Stasek (nie Staszek). Pochodził z gór i do Mielca przyjechał, kiedy zaczęto budować COP. I przed wojną i w czasie wojny był kierowcą. Wiele lat po wojnie, kiedy odwiedziłem Mielec i tamtejszą WSK-PZL dowiedziałem się, że ten pan nie miał na imię Stasek, a Henryk.

W połowie sierpnia 1943 roku sekretarka dała mi teczkę zamkniętą na kłódkę i zamek. Zawiesiła mi ją na szyję i odprowadziła mnie przed budynek Verwaltungsgebolde. Potem wsadziła do tego śmiesznego „pyrtka” i ruszyliśmy w dalszą aniżeli do miasta, drogę. W czasie jazdy pan Stasek, swoim śpiewnym góralskim akcentem mówił gdzie jedziemy i co tam możemy zobaczyć. Wyjechaliśmy z Mielca drogą koło kościoła na Dębicę W Pustkowie skręciliśmy w lewo i dowiedziałem się, że zaraz będziemy w Truppen Ubungs Platz SS-Debica. Po paru zaledwie minutach stanęliśmy przed bramą, która przypominała poznański pomnik Chrystusa Króla. Potężna brama o trzech łukowych wjazdach-sklepieniach. W części środkowej jako element pomnika stał czołg (atrapa?) lufą skierowany w naszą stronę. Zatrzymano nas i teraz już nie pamiętam, czy kierowca pokazywał jakiś dokument czy ja miałem w ogóle coś poza swoim Werkausweisem i czy pokazywałem. Wydaje mi się, że wiedzieli o naszym przyjeździe i stanęliśmy tylko po to, aby mogli sprawdzić, czy wisi mi na szyi duża, skórzana torba. Kierowca znał teren z czego wnoszę, że był tu już wielokrotnie. Swobodnie rozmawiał z wartownikami. Sprawdzono, czy moja teczka jest i ruszyliśmy. Jechaliśmy drogą podobną do takiej, jakie w Mielcu były na osiedlu i w Werku. Wyłożona była sześciokątnymi bloczkami betonowymi zwanymi trylinką. Minęliśmy stację benzynową i tuż za tą Tankstehlą były barakowe budynki. Na drzwiach, przed którymi zatrzymał się nasz pojazd, widniał napis Komandantus des SS Ubungsplatzes. W parterowym pomieszczeniu zdjęto mi z szyi teczkę, sprawdzono zamknięcia i ten, który zdejmował, poszedł z nią do sąsiedniego pokoju. Warten! No to czekałem. Co w tym czasie robił kierowca nie wiem. Wydaje mi się jednak, że stał przy samochodziku i na jego temat rozmawiał z żołnierzami z Waffen SS o twarzach raczej kałmuckich, a nie Kristall-Deutsch. Po kilku minutach oddano mi teczkę, też pozamykaną na dziesięć spustów. Abb!

Teren poligonu SS mieścił się przy lub na terenie przedwojennej fabryki chemiczno-wojskowej „Lignoza”, którą wybudowano w ramach COP. Jak stamtąd wyjechaliśmy, naprawdę nie potrafię sobie przypomnieć.

W tej Komandanturze byłem trzy albo cztery razy. Zawsze z panem Staskiem i zawsze tym trójkołowcem. Jadąc kiedyś – to była już jesień, na stacji kolejowej Kochanówka, gdzie tor kolejowy przecina drogę, zatrzymaliśmy się przed szlabanem. Mijał nas pociąg platform. Każdy z budką hamulcową, a w niej wartownik z MP. Na stopniach wagonu osobowego stało kilku z Wafenn SS z bronią gotową do strzału. Na wagonach leżały długie cygara, nakryte opończami brezentowymi. Co oni wiozł? Pytałem pana Staszka. Kto to wie! Tu jest też poligon artyleryjski i może to są nowe bomby do armat.

Innym razem – ale to było już zimą. Kojarzy mi się ten okres ze słomianymi buciarami jakie z warkoczy słomianych zakładali niemieccy żołnierze stojący na warcie. Innym więc razem z Heidelageru, jechać mieliśmy do Artilleriezielfeldu w Bliźnie. Jechaliśmy przez wieś zrobioną jakby z teatralnych makiet. Domy miały dachy ze słomy, a ściany z plandek lub szperówki (dykty). Wieś była na dużej polanie, na pewno bardzo dobrze widziana z góry. Przed nią i za nią były tablice z jej nazwą. Ociepka, Osiepka, Osika... lub podobna, jednak na pewno początkowe brzmienie jest prawidłowe. Jedyne co wydawało się nam prawdziwe to bardzo biały kościółek. Ta biel rzuciła się w oczy. Przy nim zatrzymano nas. Halt! Links Fahren und Fest halten! No to kierowca skręcił w lewo i zatrzymał się przed betonową ścianą, świeżo wykończoną, mającą jeszcze drewniane szalunki.

Wyszliśmy z samochodu. Kręciło się koło nas kilku żołnierzy Wehrmachtu, zatrzymanych tak jak i my koło tej betonowej ściany. Nagle gdzieś niedaleko, tak nam się wydawało, zaczęło szumieć głośno. Za chwilę jeszcze głośniejszy. Ryk o wiele mocniejszy aniżeli wydawany przez silniki samolotów stojących na fabrycznej hamowni. Jakby takich silników czy samolotów ryczących było kilkadziesiąt. Ale był do tego jeszcze inny dźwięk, jakby muzycznie powiedzieć inna ryku tonacja. Bardziej basowa. Był to listopad w godzinach późno popołudniowych. Po opóźnionym powrocie do Mielca, a raczej dopiero

następnego dnia dowiedzieliśmy się, że z Blizny wystrzelono pierwszą rakietę z bardzo dużym ładunkiem wybuchowym.

Wracając do dnia poprzedniego. Jadąc tym trójkołowcem z Blizny do Kolbuszowej widziałem na terenie poligonu ułożone na kozłach rakiety, cygara. To co widziałem jeżdżąc do Blizny, Pustkowie, Kolbuszowej, Dęby opowiadałem moim „chlebodawcom” w Personalabteilung lub po przyjeździe do domu z pracy koledze mojego brata, z którym spotykałem się na stopniach rozdzielni gazu „na blokach” (tuż przy kortach tenisowych). Odnosiłem, tak opowiadając, wrażenie, że to wszystko mało ich interesuje. Pytali się czy byłem w kantynie. Co można po drodze we wioskach kupić, czy tylko żołnierze tam są czy także dziewczyny w mundurach Fleiegerkorpusu czy BDM-u.

Aha! Był tam jeszcze Judenlager, bo widziałem Żydów sprzątających ulice, drogi trylinkowe na terenie poligonów. Widziałem także te same rakiety, mówiłem o nich samoloty bez kół, na przyczepach, których przednie koła były blisko siebie ustawione, a tylne bardzo szeroko. Przyczepy te ciągnione były przez olbrzymie samochody-ciągniki, takie same jakimi do Werku ciągnięto przyczepy, na których wożono wagony towarowe z Mielca do Borka Brzezińskiego. I tam jeździłem także i widziałem, że są tam magazyny amunicji artyleryjskiej. W Dębie papiery z mojej torby wyjmowała dyrekcja czy komenda budowy lotniska i głębokich szybów (co później okazało się magazynami amunicyjnymi). Tam też widziałem olbrzymią liczbę baraków i szkolących się żołnierzy, dla uproszczenia nazwijmy ich niemieczech. Byli to Tatarzy, Ormianie, Kałmucy, Ukraińcy, Rosjanie z ROA i wszelka inna wschodnia swoloč.

Niby ich to nie interesowało, ale jednak o każdej z tych miejscowości chcieli wiedzieć jak najwięcej. A ja zamiast opowiadać wolałem położyć się pod biurkiem w Pepo i spać lub „na blokach” iść do kolegów i grać w palanta. Nie imponowało mi żadne bohaterstwo. Nie chciałem być ani partyzantem, ani wielkim konspiratorem, tak jak ci chłopacy z miasta, którzy chodzili na „komplety” i nosili białoczerwone szlufki przy pasku. Był to konspiracyjny szpan.

Praca gońca dyrekcyjnego nie zwalniała mnie jednak od najcięższej dla mnie roboty, jaką było noszenie maszyn do pisania. Każda maszyna miała z dykty wykonane pudło, odpowiednio opisane, wyłożone filcem. Do niego należało przed zakończeniem włożyć maszynę, pudło zamknąć i zanieść je do piwnicy. Parciane pasy zakładało się na ramiona, tak jak plecak i pochylony do przodu maszerowałem korytarzem do bocznych schodów i nimi do piwnicy. W tym czasie wszyscy gońcy znosili maszyny do pisania ze wszystkich Abteilungen. Niektórzy musieli po dwa, a nawet trzy razy obrócić. Taki pośpiech tworzył tłok w piwnicy i przy zdejmowaniu maszyn-pudeł z ramion spadały one na posadzkę. Oby tylko nikt tego nie widział. Awantura z biciem była wtenczas murowana. Tę samą pracę wykonywało się rano wnosząc maszyny do sekretariatów i pokoi biurowych. Aby takie ciężkie pudło nie przegięło mnie do tyłu, co powodowało upadek na schody, szedłem prawie na czworakach. Było to, jak na nasz dziecięcy wiek, ponad siły. Dlatego czasami pudło ciągnąłem po posadzce korytarza. A kiedy miałem pewność, że nikt mnie nie zobaczy to i po schodach. Niby nigdy nikogo na korytarzach nie było, ale czasami jakiś szkop wyszedł z pokoju, by zobaczyć co powoduje taki rumor. No i wtenczas to nasze usprawienie było konsekwentnie wybijane nam z tyłka i buzi. To, że przy tym gardłował, to nic strasznego. I tak większości jego przekleństw nie rozumieliśmy, więc gadać mógł bez końca i do lampy. Gorsze było to amen, bo czuło się na twarzy i na tyłku. Spieszyliśmy się z tymi maszynami szczególnie przed fajerantem. Niemki udawały, że pracują do ostatniego momentu i dosłownie na chwilę przed buczeniem dawały nam zgodę na pakowanie maszyny. A my chcieliśmy uciekać do domu! Poza tym była między nami pewnego rodzaju konkurencja. Kto pierwszy minie bramę.

Po latach starałem się przypomnieć sobie, dlaczego mój Jurek-Judek-Żydek nie nosił maszyn. Ani rano, ani wieczorem nie widzę, sięgając wstecz, Jurka z maszyną.

Ileż to razy ja dostałem od Niemca po buzi! Te nasze usprawienia powodowały, że czasami maszyna przyniesiona rano z piwnicy schronu, nie chciała pisać. Popsuła się od tego skakania po schodach. Niemra była zadowolona, bo nie pisała i czekała na mechanika. Nie każdy mechanik mógł wejść do Verwaltungsgebilde. A zatem zanim maszynę naprawiono trwało to czasami parę godzin. Tyle czasu stałem przodem do ściany, stillgestanden, z rękoma do tyłu. Co chwilę głupia Trudi biła mnie po nogach linijką albo witką i cały czas gadała po śląsku, polsku, niemiecku, jaką to waleczne Niemcy przeze mnie ponoszą stratę. Ileż to taka szwabska Trudi miała satysfakcji, że mogła polskie dziecko bić i wymyślać bez miary. Taką metodą starała się nauczyć tego polskiego rojbra niemieckiego ordnungu.

Z racji częstych wyjazdów i wyjazdów, znany byłem prawie wszystkim Werkschutzom na bramie głównej i tej do lotniska. Wychodząc, a raczej wybiegając po pracy przez bramę, mówiłem grzecznie auf Wiedersehen i omijając sygnalizator wybierający ludzi do rewizji osobistej, wybiegałem poza teren Werku. Czekałem na brata z rowerem, na rurę i do domu. Chciałbym jeszcze na moment powrócić do mojej pracy w Botenmeisterei. Pracę w Werku rozpocząłem krótko po klęsce stalingradzkiej. Pamiętam, że wszyscy Niemcy swoje Hakenkreize nosili na czarnych podkładkach, a wielu nawet czarne opaski na rękawach. Atmosfera była poważna, smutna i pełna mściwości, bo oni tę klęskę spowodowaną nieumiejętnym dowodzeniem przez Paulusa pomszczą. Już wtenczas mówiono Wunderwe. Krótko po tym na mieleckich Niemców spadło kolejne nieszczęście. Ostatniego dnia marca do Mielca przyjechał

legendarny Jędrus z swoim oddziałem i zaatakował tutejsze więzienie. Uwolnił aż 126 więźniów. Nie wszyscy poszli do lasu. Sporo było pośród nich różnej maści handlarzy i kapusiów, którzy w celach podsłuchiwali rozmowy. Wie ist das moglich? Dziwili się szwaby. W mieście, gdzie tyle jest wojska, gdzie w pobliżu aż cztery poligony pełne Wehrmahtu i Waffen SS, żeby „banditen” przyjechało na drabiniastych wozach, rozbroiło wartowników i wypuściło die alle kriminalisten!

Ano, zapomnieli, że to oni byli w Polsce! I to zniechęceni. Padł wtenczas „blady strach” na wszystkich V-mannów, V-personów, Gewahos i Auskunft Persony (łącznie = szpicle).

Moje przejście jako gońca do dyrekcji, zbiegło się w tym czasie z bardzo interesującymi pracami w jednej z hal Werku. Do hali Repa przyciągano uszkodzone na Ost-froncie samoloty. Tam je wpięrowo rozbijano, reperowano, wymieniano co było trzeba, montowano. Potem na hamownie i jak połaśowały kilka godzin ponownie wracały do walki o Gross Deutschland. Któregoś dnia fabryczny ciągnik przywłókł potężnego, jak na one czasy „Condora”. Było co oglądać! Przecież był to samolot przygotowywany do nalotów na Amerykę. Tego to już nasi fachowcy specjalnie obmierzyli i zdokumentowali. Był też i płócienny „Gigant” i to nie jeden. Przeważały jednak Stukasy i Heinkle 111. Nie przypominam sobie, aby kiedykolwiek przyholowano Messerschmitta.

Kiedy nawalił rower brata i czekał mnie kilkukilometrowy marsz do domu „na bloki”, zaoferował się podwieźć mnie na rurze jeden z kolegów brata. Znałem go z terenu Werku. Widywałem go często w Personalabt, a także z mojego nowego „Verpflegungs Amtu” w domu państwa Jana i Marii Tarontów, ogrodników fabrycznych mieszkających na terenie Werku. W czasie jazdy wypytywał mnie o różne rzeczy związane z moim „gońcowaniem”, gdzie ostatnio byłem, że chyba takie przejażdżki są przyjemne i pożyteczne. Na pewno dużo widzę, a że mam dobrą pamięć to mogę szczegóły zapamiętać, jakby moje oko było aparatem fotograficznym. Pytał także, czy wiem co było przyczyną aresztowania i zamordowania mojego ojca. Kto to spowodował. Kto niszczy Polaków, cały naród polski poniża. Była to „pytająca” lekcja, przypominająca mi kim jestem i co winienem czynić, aby pozostać Polakiem i Polsce służyć. Jak dojeżdżaliśmy do bloku, w którym mieszkałem zapytał, czy chciałbym pomóc tym co walczą o utrzymanie polskości, co walczą różnymi sposobami z okupującymi nasz kraj Niemcami. Z tymi co czynią wszystko, aby Polska nie zginęła. Pamiętaj jednak, że w naszym Werku jest dużo szpicli, którzy czekają tylko na to, żeby kogoś za pieniądze wsadzić na Gestapo. Są także w Botemeisterei, wśród starszych gońców i portierów dyrekcyjnych. Muszę bardzo uważać i nikomu, ale to nikomu o naszej dotychczasowej rozmowie nic a nic nie mówić. A o tym, że chodzę do Pepo, że do państwa Tarontów to nawet nie wolno mi myśleć. Oni z myśli nawet mogą odczytać moje zamiary. Z wrogiem musimy walczyć. Każdy! Dorosły i dziecko i taki „młodzieniec” już jak i ja. Każdy Polak winien czynić to co może i tam gdzie może. Wtenczas tylko oczekiwać będziemy mogli wolnej Polski! Niemców nie trzeba się bać. Jednak są oni silni i trzeba być bardzo ostrożnym w obcowaniu z nimi. To tak jak ja, który cały dzień widziałem i gadałem tylko z nimi i w ich języku. W końcu, kiedy już zasiadłem z rury roweru i podziękowałem za przywiezienie, zapytał czy i ja chciałbym tym walczącym z Niemcami pomóc. Co za pytanie? Jak on może się w ogóle o coś takiego pytać. To było i jest moim najskrytszym marzeniem! I to nie tylko pomóc, ale przede wszystkim walczyć i to w partyzantce. Który z chłopaków o tym nie marzył? Który nie chciał być w lesie i strzelać z prawdziwego karabinu. Takie były marzenia wojenne polskiego dzieciaka. Takie miałem sny przez kilka nocy. Po przyjeździe z pracy biegłem do piwnicy – a piwnicę mieliśmy dużą i widną i tam strugałem sobie karabin.

Po kilku dniach sprowadzony zostałem „na ziemię”. W czasie przerwy obiadowej, jeden z tych, których znałem z Pepo, powiedział mi, że mają dla mnie pewną małą, „nieszkodliwą” propozycję. Co to znaczy „nieszkodliwą”? Pewnie nie będę w lesie partyzantem tylko z pewnością jakimś uczniem partyzanckim. No trudno. Jak będę się starał, a będę na pewno, to w krótkim czasie awansuję do „prawdziwych” żołnierzy. Takie były moje marzenia. Tak marzyła większość polskich dzieciaków.

No wreszcie! Nie był to żaden las, żadna partyzantka. Żaden karabin i strzelanie. Ci, którzy wzbudzili we mnie takie nadzieje, tyle pięknych snów i marzeń, zaproponowali mi wynoszenie kilku papierków, kopert. Wyjeżdżałem do miasta z różnymi papierami, kopertami i dołożenie do tego pakietu korespondencji jeszcze jednej koperty nie będzie żadnym niebezpieczeństwem. Jaki ja byłem zawiedziony. Takie nadzieje, tyle strugania w piwnicy karabinu i teraz mam przewozić przez bramę papierki?

Na bramie znałem wszystkich Werschützów, Werschutzeitorow. Steina Patzek, szefów fabrycznego Gestapo, SD i prawie każdego Niemca pracującego w biurach. Nikomu z nich nie przyszło by do głowy kontrolować tego kleine Kluge Richarda. Wyjazd był pewny, przejście przez bramę musiało odbyć się bez jakiegokolwiek trudności. Pomimo to pierwszą wywożoną korespondencję mocniej ścisnąłem w ręce i chyba troszeczkę szybciej biło mi serce. Widziałem, że z okna mojego przychylnego Personalabteilungu patrzyły dwie, a może trzy pary oczu. Cóż by oni zrobili, gdyby Wachtman sprawdził liczbę kopert z listą podawczą. Nic! Może szukaliby dla siebie alibi. Może usiłowałiby mnie jakoś wyciągnąć. Wątpię jednak, czy taka sytuacja była przed faktem tematem ich rozważań. Co stałoby się z bratem,

mamą... Kto by mnie oplakiwał? Może natychmiast by mnie rozstrzelali, tak jak tego Żyda, który uciekał przez lotnisko wprost na Posty rozstawione wokół niego?

Kopertę dostarczyłem tam, gdzie mi wskazano i tej osobie, której wygląd znałem z opisu. Wjechaliśmy – trójkołowcem oczywiście – na mielecki rynek. Pan Stasek poszedł do Landratsamtu, a ja w tym czasie biegłem do sklepu z cukierkami pani Lubomskiej i za kilka groszy kupowałem „tytkę” okruchów. Były to zmiotki z talerzy, pojemników na cukierki itp. Sklep pani Lubomskiej, tak jak i my wysiedlonej z Poznania, mieścił się przy ulicy Kościuszki, bardzo blisko Rynku. Wchodziło się do niego po kilku schodkach. Był to typowy żydowski sklepik. Pani Lubomska w Poznaniu miała duży sklep cukierków przy ulicy św. Marcina, naprzeciwko naszego domu. W tym dniu jednak nie pobiegłem do sklepu po „okruchy”, ale wszedłem do bramy domu, w którym mieścił się sklep „Bata”. Był to drugi dom w prawo, przy wjeździe na Rynek. W bramie stała miała pani ubrana tak jak mi to opisano. Miałem ją przy wchodzeniu do bramy potrącić, przeprosić, a ona miała mi odpowiedzieć „nic nie szkodzi Ryśku”. Po tym Ryśku miałem poznać, że ona to ona. To co miałem oddać, oddałem. Żadnych emocji nie odczuwałem przy tym. No bo co to za partyzantka, która każe oddawać koperty. Dopóki nie pozwolą strzelać, dopóki nie dostanę prawdziwego karabinu, to takie pocztowe zabawy nie będę traktował jako konspirację partyzancką.

Wróciłem do samochodu. Usiadłem i czekałem, kiedy wróci pan Stasek. Okruchów nie kupiłeś? Nie. Nie mam pieniędzy. Tyle razy dawała ci na „kryche”, a dziś dać ci nie może? Ano nie! Wróciliśmy do Werku. Powiedziałem tym z Pepo, że była ta pani i co miałem jej dać to oddałem. Już więcej pocziarzem nie będę i koniec!

Znałem w zasadzie wszystkich Werkschutzów. Jednak warunki „planowego opuszczania terenu” i branie batów na wszystkich odcinkach Ost-Frontu powodowało, że jednak tych „dziadków-wartowników” od czasu do czasu wymieniano. Przychodzili odmrożeni stalingradzcy, podreperowywali trochę nogi i ręce, stojąc na „spokojnej Wache” w GG, w jakimś tam Werku, w mieście, której nawet na „dobrych” mapach nie ma. Podreperowani szli ponownie na Ost Front walczyć za Führera, a ich miejsce zajmowali następni rekonwalescenci. Była też i stała obsada. Ci obsadzali bramy. Tam bowiem trzeba było się ruszać, rewidować, otwierać i zamykać wrota bramy... Die Ostfront Inwaliden siedzieli na „Postach” na wieżyczkach, jakie wokół fabryki wybudowano. Były to muirowane wieże, oszkłone i czego nie wolno im było robić, a robili, to ogrzewane elektrycznymi piecykami.

I znów potrzebny tutaj był Polak. Taki grzejnik trzeba było zrobić ze „skombinowanego” materiału, drutu oporowego i podłączyć do gniazda reflektora, który był podstawowym „uzbrojeniem” każdej wieży. Czasami zmieniano też wartowników na bramie. Taki nowy, który nie znał mnie, żądał Werkasweisu. Wtenczas skóra lekko pociła mi się na plecach, a silniejszy rumieniec wskazywał, że nie jest ze mną wszystko „git”.

Wiedzieliśmy dokładnie, kim jest „nowy”. Jego akta personalne ja przenosiłem z Dep. E (Personalabteilung für Deutsche) do dyrekcji, a później do Werkschutzleiterra. A jak ja wiedziałem to i ci moi też!

Z racji obozu żydowskiego nawiedzały fabrykę różne kontrole z Gestapo, z SD, z Ristungs Kommando-Krakau. Wszyscy oni sprawdzali, jak jest zabezpieczony obóz żydowski, fabryka. Jak kontrolują Wachtmani ludzi wchodzących do Werku i co chyba było najważniejsze jaka jest kontrola wychodzących.

W tej sytuacji uznano, że moje wywożenie „listów” samochodem jest zbyt niebezpieczne. Poza tym pan Stasek nie zawsze szedł do Landratsamtu, gdzie „Flama” (dziewczyna) z którą „kramował” przestała już pracować lub dała mu kosza. W takiej sytuacji moje wchodzenie do bramy w domu Bata było zbyt ryzykowne. Co miałem odpowiadać na jego pytania, po co tam chodzę. Siusiu? Tak! Tam na podwórzu można się odlać! Poszedłem kiedyś sprawdzić. Gdzie ty tam sikasz? W bramie? Przecież na podwórzu zawsze kręcą się ludzie ze sklepu. Czy tobie nie wstyd? Pojedziemy, stanę na szosie i tam możesz siurać do woli!

Niebezpieczne było także spotkanie stale tej samej odbiorczyni, która zimą marzła czekając na mnie. Przecież moje wyjazdy nie były ani stałe, ani regularne. To były przypadki wynikające z potrzeby. Może były też i inne przyczyny. Z pewnością samochód fabryczny, który staje w miejscach, gdzie nie ma żadnego „Amtu”, wzbudzać musiał zainteresowanie jakiegoś „rejonowego” kapusia. Było jeszcze przysłowiowych „sto pięć” powodów i dlatego przestałem wywozić firmowym samochodem „koperty” – jak ja je nazywałem. Korzystniejsze było wynoszenie ich po fajerancie. Nosilem do podpisu plany wacht i postów i odnosiłem je „na bramę”. A zatem rozumiałe jest, że ci co mieli wiedzieć wiedzieli, kiedy Emil ma „lejek” (wybierak do rewizji), kiedy Hans (też Ślązak), a kiedy berlińczyk – Kulas. Mnie zresztą żaden nie sprawdzał. Żaden, ze starych i stałych Werkschutzów. Jednak do pomocy dawali czasami frontowych kuśtyków, a ci nie byli objęci grafikami i byli gorliwsi od stałych.

Kiedyś przyklejono mi kawałek plastra na kolano (chłopcy chodzili latem i zimą w krótkich portkach) i gdyby mnie zapytano, co zrobiłem, miałem odpowiedzieć, że spadłem z tankietki, bawiąc

się w wojsko. A tak naprawdę, to wysmarowali pastą schody i biegłem zbyt szybko po nich i oto skutek. No i spytali się! Na ja. Feldhase has Du ertappen lassen! Nein! Nur eine Spatz! I już byłem za bramą.

Nowy sposób udał się. Od teraz będę miał co jakiś czas gdzieś przyklejony plaster lub założony bandaż. To też nie była taka prosta sprawa. Kiedy pani Tarantowa lub jej mąż Jan „oklejali” mnie plastrem lub bandażowali, ja w tym czasie pałaszowałem kromę chleba, marchew i piłem kozie mleko. Hodowali bowiem kilka kóz. Ale co powie Trudi. Co powie pan Stasek! Ale z ciebie cielok! Same bóle mosz i strupy. Trza cie dać do lazaretu na zbadanie cy to nie jaki świrzb!

Wyniosłem kilka przesyłek pod plastrami i bandażami, ale nie mogłem być stale oblepiony. Co i jak więc dalej? Zaczęto mi plastry przylepiać na plecy. Żeby to jednak nie wyglądało zbyt podejrzanie, były to plastry przeciwreumatyczne, tak jednak spreparowane, że brudziły jak prawdziwe, ale łatwo się odlepiały. Bez bólu. To przyklejanie to też był cały rytuał. Raz działo się to w Pepo, innym razem w toalecie. Jeszcze inny przypadek w Ambulansie (przychodni lekarskiej), a także w domu państwa Tarantów. Ostatni raz wynosiłem w lipcu 1944 roku i wtenczas pan Zyga (nazwiska nie pamiętam) przykleił mi duży plaster w czasie śniadania, kiedy siedzieliśmy przed halą nr 2 – mechaniczną. Działo się to w dosyć prosty sposób. Siedzieliśmy na murku pod oknem działu mechanicznego. Był upał. Zdjąłem koszulę i kiedy zabuczała syrena on mając przygotowany „plaster” o małym wymiarze, pomagając założyć (przełożyć) koszulkę przez głowę, przykleił mi to co miałem wynieść poza bramę. Było to tak zgrabnie zrobione, że pozostali pracownicy siedzący razem z nami na tym samym murku niczego nie zauważyli.

Na sygnał syreny kończącej śniadanie lub obiad, biegiem musiałem lecieć do mojego botenmeistera lub później przed sekretariat dyrekcyjny. Sygnałem, że za chwilę będzie koniec przerwy obiadowej, był zawsze przemarsz Żydów z obozu do hal lub miejsc, gdzie pracowali. Po terenie fabrycznym prowadzili ich tylko policjanci żydowscy. Była to straszna grupa podludzi-potworów. Żydzi mieli na głowie wycięty we włosach pas od czoła do potylicy. Jeżeli był łysy lub częściowo łysy to malowali mu taki pas farbą (niebieską). Policjanci prowadzący komando – chyba to nazywało się Abteilung Gruppe – bardzo pilnowali, aby ich grupa szła w równym szeregu i aby rzędy były wyrównane. Każdy z nich miał krótki batóg z długim rzemieniem, na końcu którego przymocowany była śruba. Umieli tak celnie posługiwać się swoim „narzędziem”, że jeżeli któryś wysunął się z szeregu lub rzędu, otrzymywał uderzenie tą właśnie śrubą. Jeżeli w głowę, to albo padał albo tracił rytm marszu. Wtenczas wyciągano go z szeregu i bito pałką. Pozostali dreptali w marszu w miejscu tak długo, aż bity wstał i maszerował z nimi na oddział lub jeżeli nie mógł to nieśli go.

Dużo czytałem o tamtym okresie, o Żydach w obozach pracy w GG, ale nigdzie nie doczytałem się nawet wzmianki o mieleckim Judenlagerze. Jest w mieście na miejscu spalonej przez Niemców synagogi głaz-pomnik, wzniesiony sumptem jednego z mielczan religii mojżeszowej, który teraz mieszka w Ameryce. Na terenie fabryki brak jakiegokolwiek znaku, tablicy pamiątkowej, czy nawet notatki w kronice miasta Mielca.

Niewiele wiem o tym obozie. Jednak żyją jeszcze ludzie, którzy mogą dużo o nim powiedzieć, o wartownikach z SS-Ukraina, SS-Galizien no i przede wszystkim o wółżydach-policjantach w granatowych uniformach, którzy własnych współwynawców bili, maltretowali i mordowali.

Jeżeli któryś z tych więźniów przeżył, to tylko i wyłącznie dzięki Polakom, którzy przynosili im coś do jedzenia. Którzy pozwalali w kątach spać, wymyć się w „polskich” umywalniach, którzy osłaniali ich przed własną – żydowską policją i którzy pod koniec, w ostatnich dniach dali im schronienie w kanałach wentylacyjnych i podpodłogowych.

Przyklejanki moje zdejmował mi zawsze ten sam człowiek (dla mnie stary, bo prawie 19-letni), przyjaciel brata. Z Werku wracałem na „nurze” rowerem brata. I kiedy on znosił „kuftę” do piwnicy, ten który z nami jechał (oczywiście drugim rowerem) wchodził do klatki schodowej i odrywał mi z pleców, kolan, łokci, to co sam lub ktoś inny przykleił.

Bywały i takie „przesyłki”, które rano odbierałem w bramie naszych „schodów” i zawoziłem do Werku. Tam musiałem tak manipulować, aby włożyć ją we właściwą przegródkę pocztową. Nikt tego nie mógł zauważyć. Raz tylko Tadek, zastępca Botenmajstra, widział, że trzymam w ręce kopertę. Co tak się jej przyglądasz? Bo taka pognieciona. A do diabła! Kto to mógł tak pognieść? Odebrał mi ją i zabrał się do „zaprasowania”. Był to jeden z nielicznych momentów w tym moim „wynoszeniu”, kiedy ścierpła mi skóra, kiedy przestraszyłem się. Musiałem zaczerwienić się, bo Tadeusz starał się uspokoić mnie. Przecież ty tego nie mogłeś zrobić! Ty poczty („torbowej”) nie nosisz (pracowałem już w sekretariacie). Przypuszczalnie burę dostał któryś z chłopaków, który po mnie tą straszną torbę teraz dźwiga.

Ile wynosiłem tych „kopert”? Trudno to teraz policzyć. Ile przeglądano w Pepo korespondencji, za którą „płacono” mi chlebem i spaniem? Kto to policzy i po co to teraz komu potrzebne?

Przyzwyczaiłem się do tego wynoszenia do tego stopnia, że kiedy wychodziłem z fabryki bez „plastra”, to jakoś dziwnie się czułem. Tak jak każdego dnia mówiłem Werschutzm na bramie „czis” panie Emil! Był to lekko kulejący wartownik, Ślżak, który na Ost Froncie dostał postrzał w piętę. Ty pieroński Rotzbube. Kaj ta laufratujesz? W klipa bydziesz szpilował? Ja, panie Emil. Do dom jade.

Mój „niemiecki” wygląd, blond włosy, przedziałek, na niemiecki przekręcone imię – Richard i atut wieku, dwunastoletniego, trzynastoletniego dzieciaka, dawał gwarancję, o ile w czasie okupacji niemieckiej można było spodziewać się jakiegokolwiek gwarancji, bezpieczeństwa „kopertom” i mnie. Była to także gwarancja dla Organizacji, że taki dzieciak nie może być przedmiotem inwigilacji miejscowego SD, Gestapo czy Werkschutzleitungu.

Ale! Ale! Ja przecież do żadnej organizacji nie należałem. Chociaż zdawałem sobie sprawę, że wynoszę przedmioty, wiadomości, informacje, jakie są gdzieś i komuś potrzebne, że to co robię to jest praca konspiracyjna, o której nikomu z kolegów, nikomu w Werku i nawet w domu nie wolno mi było mówić. W Werku, w mieście co jakiś czas kogoś aresztowano. Ten słuchał Londynu, tamten czytał w pracy „gazetki”, bibułę i dawał do poczytania innym, ten „zginął” na kilkudniowe przeszkolenie i głuptas chwalił się. Aresztowanych w Werku zawsze doprowadzano do Werkschutzschleitera, który swoje biuro miał w Verwaltungsgesbade na parterze, po lewej stronie. Tam ich bito, zakuwano w kajdanki i wywożono do więzienia w mieście. Każdego takiego aresztanta prowadzono przed naszą Botenmeisternią. Stąd pan Wesołowski wiedział kogo aresztowano. Był więc jedynym, który widział i wiedział i mógł powiadomić rodzinę. Powiadał także i innych, których powiadomić należało. Było to bardzo ważne. Od szybkości przekazania takiej informacji zależało czy ktoś „spalony” mógł usunąć się spod łap gestapowskich.

Szefem Werkschutzu w czasie mojej pracy w Werku był wprawdzie niejaki Stein, którego imienia nie znam, ale którego wątpliwej jakości autograf mam na Werkausweise. Po nim „rządy” przejął Patzek. Był to podobno jakiś sudecki Czech. Było to wyjątkowo niemieckie bydlę. Cieszył się i śmiał, jak abiturient domu dla psychicznie chorych, kiedy idąc korytarzem mógł kogoś zawrócić za to, że nie powiedział mu „dzień dobry” i dać parę razy po twarzy. Jeżeli nie zdjęto przed nim czapki, zawracał, brał do swojego pokoju i bykowncem strącał czapkę, a kiedy uderzony pochylał się, bił po plecach. I tak mógł powtarzać tę „naucę” po kilka razy dziennie.

Moje „wynoszenie” ubrane winno być jednak w jakąś formę organizacyjną. Tak zadecydowali ci, którzy z przynoszonych przeze mnie materiałów korzystali. Zbiegło się to ze śmiercią ojca zamordowanego przez Niemców w KL Auschwitz. Któregoś dnia wezwano Mamę i wręczono jej w portierni mieleckiego Gestapo zawiadomienie o zamordowaniu ojca. Pisałem już o tym, więc nie będę powtarzał tego zdarzenia. Miało ono jednak istotny wpływ na moje dalsze życie dziecka-konspiratora. W czasie jednej z licznych śniadaniowych przerw, kiedy rozmawiałem z tym moim „przyklejaczem”, ten spytał się mnie czy wiem, że na terenie powiatu mieleckiego istnieje drużyna harcerska. Przypuszczając, że jest to sprawdzian, czy umiem dochowywać tajemnicy, o czym ciągle mi mówiono, powiedziałem, że wiem, że chłopacy chodzą na komplety, gdzie się uczą przedmiotów, jakich nie ma w szkole. A zatem historia, trochę wyższa matematyka z ułamkami, które to niemieckie władze uznały za absolutnie niepotrzebne polskim, przyszłym robotnikom, no i może religia, śpiew (pieśni patriotyczne). Ale o harcerstwie to nic a nic nie wiedziałem. Po tej mojej niby szczerzej odpowiedzi, zrobił mi „wykład”, co to jest harcerstwo okresu wojny, po co jest, dlaczego młodzież polska powinna do niego należeć. W końcu, kiedy już po syrenie ogłaszającej koniec śniadania czy obiadu rozchodziliśmy się, spytał niby od niechcena, „a czy chciałbyś być harcerzem?” Pytanie! I znów, jak poprzednio, leżąc w łóżku wyobrażałem sobie, że idę w ładnym zielonym mundurku, w równym szeregu i wszyscy podziwiają tylko tego, nowego harcerza.

W kolejnej rozmowie śniadaniowej dowiedziałem się, że na czas wojny harcerstwo przyjęło nazwę „Szarych Szeregów”. Jest to organizacja, której mój zastęp – o ile mnie do niego przyjmą – przygotowuje dzieciaki do tego harcerstwa, do tych warunków, jakie będą już po wojnie, kiedy Niemców wygoni się z naszej ojczyzny. Dotychczasowa moja praca konspiracyjna miała tę „zaletę”, że znałem tylko czterech-pięciu, którzy dawali mi śniadanie, pozwalali się przespać, „przyklejali”, „odklejali”. Było to dla wszystkich korzystne. Gdyby nastąpiła „wpadka”, to nie znając innych, nawet gdyby mnie bito i katowano, nie mógłbym wskazać wielu, wielu Polaków, walczących w różny sposób z Niemcami. Teraz, jako harcerz znać będę większą grupę ludzi dorosłych i chłopaków. O żadnym jednak nie wolno mi nikomu mówić. Taka duża grupa znających się nawzajem stwarza podstawy bardzo dużego niebezpieczeństwa, tym bardziej, że jesteśmy jeszcze bardzo młodzi i czasem świerzbi nas język, aby przed innymi kolegami z bloków czy Werku pochwalić się. Dlatego trzymanie języka za zębami jest bardzo ważne. Wierzy jednak, że o ile dotychczas nikomu nic nie mówiłem o „wynoszeniu”, to i teraz będę milczał jak grób. Po tej tyradzie przestróg i uwag spytał, czy zdaję sobie z tego wszystkiego sprawę. Czy pomimo tych ostrzeżeń zgadzam się, czy chcę być harcerzem? Szarym harcerzem! Oczywiście! Cóż za pytanie! Przecież ja mam już 12 lat. Niedługo we wrześnie będę miał nawet trzystaście!

W czasie wojny, w warunkach życia takich jak moje, bez ojca, „wplątany” w wynoszenie dokumentów, przez wczesne wstawanie, brak zabaw dziecięcych, niedożywienie, szybciej dojrzywałem. Nie kalendarz dyktował rozsądek. Zdarzenia jakie dziecko przeżyło, warunki, tworzyły atmosferę, klarowały kierunek myślenia, sprawność fizyczną w konieczności „zdobywania” wielu podstawowych

rzeczy do jedzenia, ubrania, dla rodziny, przyjaciół i Żydów. Tak „dorosłe” dziecko, po takich tragicznych przeżyciach nie mogło dać innej odpowiedzi, jak tylko tak. Chce być harcerzem!

Pierwsze zbiórki odbywały się w mieszkaniu zastępowego. Nazywał się Malinowski. Było to gdzieś blisko Soldatenheimu w mieście. Boczna ulica, polna, nie wybrukowana. Co na tej pierwszej zbiórce było już nie pamiętam. Musiało to być jednak coś ciekawego, wzniosłego. Wiem, że byłem bardzo przejęty, że słuchałem z otwartą buzią tego co mówił zastępowy. To było zupełnie coś innego, nowego i strasznie rozbudzającego mój patriotyzm, patriotyzm chłopaka, któremu Niemcy zabili ojca.

Do domu biegłem jak niesiony na skrzydłach. Byłem jedynym chłopakiem z bloków. Reszta była z miasta i nie znałem z nich nikogo. Byli bardziej wzniosli, bo przecież już byli harcerzami. Jak mogli patrzeć inaczej na „blokowca”, który wysługuje się Niemcom, pracując w tej ich fabryce. Oni nic nie robili, chodzili najwyżej na komplety, a więc byli ważniejszymi ode mnie. Całą noc nie spałem po tej zbiórce. A może wydawało mi się, że nie spałem. Tak ten fakt pierwszej zbiórki harcerskiej, przeżywałem. Pierwszy raz powiedziałem „czuwaj”.

Najgorsze było to, że o mojej tajemnicy nikomu nie mogłem powiedzieć! Ani Mamie, ani bratu, ani dwóm moim przyjaciołom, dwóm Włódkom: Lisiakowi i Sosińskiemu. Był jeszcze trzeci Włodek, Zabrzejewski, który tak jak i ci dwaj poprzedni nie pracował jeszcze. Mogli dłużej spać, chodzić nad Wisłokę, kąpać się, na „komplety” – na religię i historię. Jak ja im zazdrościłem! Ale mimo to byli to przyjaciele do wieczornych zabaw w „kryto”, „policjantów i złodziei” i w najważniejszą zabawę, w palanta. Tworzyliśmy „manę”. Tak nazywało się grupę kolegów (z poznańska).

Kolejna zbiórka, a może jedna z dalszych, była w mieszkaniu drużynowego, Zbyszka Maziarzewskiego. Mieszkał w narożnym domu przy ulicy Kościuszki. Po wojnie pan Maziarzewski, druh drużynowy, był aż do emerytury dyrektorem Zespołu Szkół Ekonomicznych w Katowicach.

Pracowałem i nie mogłem opuścić żadnego dnia. Coś takiego nie było wówczas, w czasie okupacji znane. Chyba, że zabrali do szpitala. Z tej też przyczyny nie mogłem uczestniczyć w zbiórkach, które odbywały się w tygodniu. Chodziłem na nie tylko w niedzielę po kościele. Przygotowywaliśmy się do przyrzeczenia i do pierwszego „biegu” na młodzika. W harcerstwie stopnie zdawało się wtenczas i po wojnie jeszcze też, w czasie tak zwanych biegów. Był to marszbieg od punktu egzaminacyjnego do punktów kolejnych. Punkty takie należało odszukać i to w określonym czasie. Biegi miały swoje poziomy trudności w zależności od stopnia na jaki się zdawało, czy też od sprawności jaką chciano uzyskać. Okazało się, że te wszystkie mądrale z zastępu, którzy z taką wyższością przyjęli mnie na pierwszej zbiórce, to były takie same „gapy” jak ja. Zaledwie o kilka zbiórek starsi.

Co na tych zbiórkach robiliśmy? Przede wszystkim mówiono nam o naszych pradžejach. Wpajano w nas wiarę, że Polska była i będzie. Chwilowo, czasowo tylko Niemcy nas okupują, jednak wygonimy ich. Wyrzucą Niemców z Polski partyzanci tacy jak nasi „Jędrusie”. My harcerze, mali i ci starsi, w miarę swoich możliwości i umiejętności – pomożemy. Trzeba więc uczyć się tego wszystkiego, co zastępowy pokazuje, o czym mówi i co sami praktycznie musimy ćwiczyć.

Nie przypominam sobie, aby w czasie okupacji ktokolwiek mówił: faszyści, naziści. Wątpię nawet, czy terminy te znane były i to nie tylko powszechnie, ale i w kręgach ludzi o większej wiedzy encyklopedycznej. To byli Niemcy i tylko Niemcy. Czasami, jeżeli jakiś szwab nie był aż taką świnią, mówiono o nim „dobry Niemiec”. Czy któryś z nich, nawet z tych tzw. dobrych Niemców był przeciwny Hitlerowi? To co Hitler i jego współzbrodniarze powiedzieli to było święte! Przecież ci idioci nawet słuchając Hitlera czy Gebelsa przez radio, co chwilę wstawali, podnosili łapy i krzyczeli „Heil”. I czy wśród takiej bandy mogli być „dobrzy Niemcy”? Dopiero po wojnie okazało się, że prawie każdy był antyfaszystą i że nie wierzył w Hitlera! Przecież oni ten zwrot „antyfaszysta” wymyślili dopiero po wojnie. Byli Niemcy i tylko Niemcy. Wprawdzie byli jeszcze: Kałmucy, Węgrzy, Azerbejdżanie, Rosjanie (ROA), Łotysze, Litwini, Ukraińcy i inne tałatajstwo zalewające naszą ojczyznę, jednak wszystkie te bandy zwane były Niemcami. Chodzili w niemieckich mundurach, więc kim mogli być jak nie szkopami?

Kiedy stwierdzono, że moja znajomość harcerskich powinności jest już na tyle wystarczająca, że dorównuje tym „mądralińskim” z mojego zastępu, poinformowano nas (ich też), że w najbliższym czasie złożymy uroczyste przyrzeczenie. Po nim dopiero będziemy prawdziwymi harcerzami. Czego do tego czasu nauczyliśmy się? Poznaliśmy znaki topograficzne, umieliśmy czytać mapę o małej skali, jednak co jest oczywiste, w zakresie umiejętności dziecka. Uczyliśmy się bandażować rękę, łokieć, nogę i głowę. A to nie jest wcale takie łatwe i proste przy potrzebie posługiwania się przez dzieciaka dwoma bandażami. Umieliśmy opatrzyć „prostą” ranę itp. Znaliśmy ileś tam piosenek harcerskich i Patriotycznych, a także kolęd. Byliśmy sprawni przy grze w „kima”. Umieliśmy przyszyć guzik i zacerować dziurę. Potrafiliśmy jeszcze sto innych rzeczy, ale nie wszystko do dzisiaj pozostało w pamięci. Trzeba było np. idąc ulicą czy drogą patrzeć na dosłownie wszystko. Po takim spacerze zastępowy pytał się o takie rzeczy, na jakie na ogół nie zwraca się w czasie spaceru uwagi. No na przykład: jaką numerację miały przejeżdżające niemieckie samochody. Czy były to samochody Wehrmachtu czy Waffen SS, czy administracji niemieckiej. Wiedziałem także niektóre szczegóły z historii. Nie wiem już, czy to co

pamiętam jeszcze o hetmanie Czarnieckim to pozostało ze zbiorów harcerskich czy też z tego, czego wieczorami uczyła mnie „ta nudna” pani ze Żnina, mama, czy pani Ossowska. W okresie od września 1943 roku, kiedy to pierwszy raz usłyszałem i wymówiłem harcerskie „czuwaj” do Gwiazdki tegoż roku nauczyłem się dużo, a że dochodziła do tego praca i nauka w domu, uznaję teraz, że czas mój był całkowicie zajęty.

Aż tu nastąpiła Gwiazdka 1943 roku. Kończył się czwarty już rok niemieckiej okupacji. Na pierwsze święto, po południu wyznaczono nam zbiórkę gdzieś koło stacji kolejowej. Stamtąd ruszyliśmy spieszonym marszem do lasu zwanego Chyjki-Dębiaki. Tam ustawiono nas na skraju polanki, ale w zagajniku i czekaliśmy. Z ruszających się gałęzi i dochodzących głosów wiedzieliśmy, że obok z prawej i z lewej strony też stoją chłopcy. Jednak nie widzieliśmy się wzajemnie. Tam to w lesie chajeckim spotkały się wszystkie zastępy drugiej, zakonspirowanej drużyny harcerzy im. Bolesława Chrobrego. Po wojnie dowiedziałem się, że przyszła też tam pierwsza drużyna im. W. Sikorskiego. Byli to jednak starsi już chłopcy-harcerze i ich miejsce było przy tej polanie bardziej schowane.

Przy zapalonym małym ognisku, symbolicznym harcerskim zniczu złożyliśmy, my młodziecy, przyrzeczenie harcerskie na ręce podharcemistrza Władysława Talagi. To, że zaledwie kilku nas składało przyrzeczenie, świadczyło o tym, że drużyna jest „stara”, zorganizowana, silna osobowo i nie przyjmowano do niej wszystkich, każdego. Czas przeznaczony na sprawdzenie kandydata na harcerza był dostatecznie długi, aby można było poznać jego wszystkie wady i zaletę jedną, jedyną, jaką była dyskrecja i umiejętność jej utrzymania. Podharcemistrz Władysław Talaga po wojnie był harcemistrzem, organizatorem życia harcerskiego w Głogowie. Był nauczycielem, przyjacielem młodzieży, odznaczonym krzyżem za zasługi dla ZHP z mieczami (z rozetą). Zmarł w pierwszych dniach lipca 1986 roku w Głogowie. A przywędrował tam z Jarocina, skąd wywodzi się wielki ród działaczy harcerskich tej rodziny.

Przy ognisku była jeszcze gawęda druha „Krajana” – podkomendanta hufca chłopięcego. Mówił o tym, że stając się harcerzami znaleźliśmy się w najmłodszej grupie Zawiszaków. Jeżeli zdamy ten trudny wojenny egzamin w kraju czasowo okupowanym przez Niemców, to z harcerzy Zawiszy stanemy się harcerzami Szkoły Bojowej – następnego „wiekowego” etapu, na jakie harcerstwo było podzielone. Wieczorną modlitwą zakończyliśmy zbiórkę – pierwszą w terenie, po której my młodziecy byliśmy już prawdziwymi harcerzami.

Co teraz będziemy przerabiali? W jaki sposób pomagać będziemy „Jędrusiom”? Nie pamiętam już szczegółów miejsca i czasu. Z pewnością na niedzielne zbiórki chodziłem. Zaczęliśmy chodzić na zajęcia terenowe z terenoznawstwa, maskowania, poznawania różnych pojazdów niemieckich. Pomimo, że zbiórki były ciekawe, były one jednak dla mnie męczące. Brak było czasu na wyspanie się, na porządne jedzenie. Ciągłe podarte buty, mokre nogi i łażenie cały dzień po fabrycznych drogach. W efekcie zachorowałem na zapalenie płuc.

W naszym bloku w sąsiednim wejściu mieszkał lekarz fabryczny. Jeden, jedyny dla Polaków i Niemców. Pan doktor Jan Petrykowski, też tak jak większość mieszkańców bloków wysiedlonych z Poznania, zajął się mną z prawdziwie samarytańską dobrocią. Poleżałem kilka dni w szpitalu fabrycznym, jako chory suchotnik – chociaż nim nie byłem. Wyspałem się, wypocząłem. Przynosili mi ci „przyklejaczki” dużo dobrego jedzenia, a wśród niego takie rarytasy jak śmietanę, gęstą jak masło, orzechy, miód, który wtenczas pierwszy raz w czasie wojny jadłem. Dbała o mnie mama. Spałem, jadłem i na odwrót, jadłem i spałem.

Po kilku dniach, kiedy rozbisurmaniłem się jak dziadowski bicz, trzeba było tę sielankę przerwać i natychmiast wracać do Werku. Och, jak mi się nie chciało! Po szpitalu wróciłem do Werku, do mojego „sekretariatu” dyrektora Kleinemeiera i jego sekretarki Trudi. Były jakieś komplikacje, czy można na tak „eksponowanym” stanowisku gońca dyrekcyjnego zatrudniać chłopaka, który wyszedł ze szpitala dla suchotników. Posłano mnie do zbadania przez lekarza zakładowego, którym był... oczywiście pan doktor Jan Petrykowski. Napisał mi zaświadczenie, że to nie była tuberkuloza lecz Brustfellentzündung (zapalenie opłucnej). Jakiś czas marudzono, wyzywano mnie od Simulanten i że pójdę do ciężkich robót i że ona – Trudi – postara się o to. Ale po jakimś czasie i to minęło.

W czasie jednej z kolejnych zbiorów, na których przygotowywaliśmy się do biegu na „wywiadówce”, kolejny stopień w harcerstwie, przyszedł drużynowy druh Maziarzewski. Po zbiórce powiedział, że też idzie „na bloki” i że razem pójdziemy. Czy nasza obecna młodzież byłaby w stanie zdać sobie sprawę, jakie to było wówczas wyróżnienie dla takiego dzieciaka jakim ja byłem?! Iść razem ze swoim przełożonym drużynowym?! W czasie przechadzki drużynowy powiedział mi, że dobrze by było, gdybym w środę 2 lutego 1944 roku w imieniny Ignacego (pamiętam bardzo dokładnie ten szczegół) mógł przyjść do niego do domu. Będzie tam jeden pan z „lasu”, któremu na imię właśnie Ignac i chciałby ze mną porozmawiać. Starsi i to z lasu chcą ze mną rozmawiać, to będzie albo jakiś egzamin albo dodatkowe „wynoszenie”! Tymczasem nie. Był to pan starszy trochę od mojego brata, w butach z cholewami, który kazał do siebie mówić porucznik Ignac. Wypytywał mnie o Werk, co tam robię, jaka jest ta sekretarka Trudi, jaki dyrektor Kleinemeier. Co wiem o Verkaufleiterze Grossmannie,

o Einkaufleiterze Voglu. Miał jeszcze sto innych pytań, ale wszystkie związane były z moją pracą, a nie ze stopniem „wywiadowcy”, jaki miałem zdobywać. Czego on tak naprawdę ode mnie chce?

Okazało się, że dowództwo zgrupowania akowskiego uznało, że taki „wynoszac” jakim byłem, powinien stać się całą gębą akowcem i powinienem złożyć przysięgę. Znałem już wielu ludzi po tej stronie, byłem „pożytecznym” dzieciakiem, a ponieważ zbliżam się do granicy 14 lat, powinienem złożyć przysięgę. Przyniesiono krzyż. Zapalono dwie świece. Weszło do pokoju jeszcze kilka osób (przypuszczam, że była to rodzina drużynowego Maziarzewskiego), a także kilku jeszcze starszych chłopaków, którzy czekali w sąsiednim pokoju. Stanęliśmy w szeregu i pan w cholewach, porucznik Ignac, kazał nam powtarzać słowa przysięgi żołnierza Armii Krajowej:

*W obliczu Boga Wszchemogącego,
Najświętszej Marii Panny, Królowej Korony Polskiej
Kładę rękę na ten święty krzyż
Znak męki i zbawienia – i Przysięgam!
Być wiernym ojczyźnie swej, Rzeczypospolitej Polskiej,
Stać nieugięciem na straży Jej honoru,
a o wyzwolenie Jej z niewoli, walczyć ze wszystkich sił, aż do ofiary z mego życia.
Prezydentowi Rzeczypospolitej, Rozkazom Naczelnego Wodza i delegowanemu
przez nich dowódcy Armii Krajowej być posłusznym.
Powierzonej mi tajemnicy niezłomnie dochować, cokolwiek mnie spotkać by
miało.
Tak mi dopomóż Bóg i święta jego męka!*

Po tym długim wierszu pan w butach z cholewami potwierdził przyjęcie naszej przysięgi, mówiąc:

*Przyjmuję Was w szeregi Armii Krajowej, walczącej z wrogiem!
Obowiązkiem Waszym będzie walczyć z bronią w ręku. Zwycięstwo będzie Waszą
nagrodą. Zdrada będzie karana śmiercią!
Żołnierze, Cześć!*

Odpowiedzieliśmy – „cześć!” To znaczy, że już nie „czuwaj”, a „cześć”. Już nie jestem harcerzem, ale żołnierzem. Że walczyć mam z bronią w ręku, a nie poprzez „wynoszenie”? Ileż to pytań rodziło się w tej dziecięcej głowie. A dlaczego w rocie przysięgi brak jest, że walczyć mamy z wrogiem? A dlaczego nie powiedziano, że z Niemcami? Czy są jeszcze inni wrogowie?

Nikt takiemu dzieciakowi niczego nie powiedział, a nie miałem kogo spytać. Pełen rozterki biegłem koło żydowskiego boiska makabi do domu. Sam musiałem sobie na te wszystkie dręczące mnie pytania odpowiedzieć. Odpowiadałem więc sobie tak jak umiałem.

W dalszym ciągu chodziłem na zbiórki. Wiedziałem, że jestem „harcercem Zawiszy”, jak nazywano najmłodszą grupę harcerskich dzieciaków. Wiedziałem, że mam walczyć z wrogiem. Wy tłumaczyłem sobie, że moja walka to zbieranie „ciekawych” kopert, wynoszenie tego co mi każą z Werku i na powrót wnoszenie tego, co zostało już wykorzystane. Już nie strugałem w piwnicy drewnianego karabinu. Karabin dostawało się do ręki po ukończeniu 18 lat i dostawali go tylko ci, którzy siedzieli w lesie. A może poślą mnie do „Jędrusiów”?

Kto miał mi na te pytania odpowiedzieć? Kiedyś w czasie śniadaniowej przerwy weszliśmy z tym moim starszym „śniadaniowo-przyklejanym” przyjacielem na temat partyzantki. Powiedział, że teraz do Armii Krajowej to już nawet dzieciaków przyjmują. Czy słyszałem coś o tym? Nic a nie!

Nic się nie zmieniło. Nadal biegałem z dyrekcyjnymi teczkami po Werku. W dalszym ciągu chodziłem na zbiórki, które coraz bardziej przybierały „walczący” wygląd. Któregoś dnia tzw. alarmem wezwano mnie wieczorem do miasta na dodatkową zbiórkę. Miejsce takiego spotkania było zawsze dużo wcześniej ustalone i za każdym razem inne. Kiedy ściemniało się, podeszliśmy w okolice kościoła, a była to sobota i tam ze zdziwieniem zobaczyłem grupę moich kolegów z bloków i z miasta, należących do zastępu Jastrzębi. Ustalono, że my, smarkateria harcerska, stać będziemy na skrzyżowaniu ulicy Kościuszki i Mickiewicza i ostrzegać gwizdaniem jakieś znanej niemieckiej melodii, jeżeli zobaczymy idącego przechodnia. Oni, z zastępu Jastrzębi, naklejali w tym czasie na kościelnym murowanym parkanie duże arkusze papieru z rysunkami lub zdjęciami pańienek, które lubiły gościć Niemców. Plakaty takie zawierały imię, nazwisko, adres i ostrzeżenie, że jeżeli nadal będą przyjmowały taką klientelę, zostaną ostrzyżone „na glacę” (na pałę). Zastępowym tego rozklejającego zastępu był mój przyjaciel mieszkający w mieście, Janusz Trenerowski. Jego ojciec, oficer Wojska Polskiego, przebywał w oflagu.

Oto jeden z przykładów naszych zbiórek. Było ich dużo. W niedzielne popołudnie jedyne mieleckie kino wyświetlało filmy przeznaczone „Nür für Deutsche”. Jednak sporo było Polaków, którzy chcieli iść do kina. Mieściło się ono w czerwonym, dużym budynku Soldatenheimu. Bilety w kasie sprzedawała matka mojego kolegi, Romka Ofierzyńskiego. W przerwach między seansami przykleić mieliśmy w hallu kina dwa plakaty. Było to nasze już własne zadanie. Nie tak, jak przed kościołem, gdzie byliśmy tylko na czacie, lecz sami, po raz pierwszy mieliśmy coś zrobić. Wydawało nam się, a w każdym razie

mnie, że to tak prosta czynność, iż nie ma potrzeby tracić czasu na próby czy trening. Zastępowy był jednak innego zdania. W komórcie znajdującej się na podwórzu jego domu przeprowadziliśmy „generalną próbę”. Jeden z nas posmarował ścianę klejem. Ja musiałem wyjąć zwinięty rulon papieru pakowego spod „jupy” (kurtki) i przyłożyć w miejsce posmarowane klejem. Trzeci z nas, mający w obu rękach szmaty, rozcierał plakat od środka w stronę jego brzegów. Plakat nie był duży. Wydaje mi się teraz, że miał wymiar A₃. Zapomniałem powiedzieć, że wszystkie te czynności wykonywaliśmy przy wyłączonym świetle. Palił się węgielek na łopatkę, co imitować miało żarzący się papieros. Harcerze nie palą, więc nawet na próbie nie wolno było łamać przyrzeczenia!

Sprawdzenie naszej pracy przy świetle okazało się fatalne. Plakat przyklejony był dolną częścią, a jego góra zwiślała bezwładnie. Jeszcze raz, jeszcze raz. Wymierzone ruchy rąk, wysokość górnej krawędzi, smarowanie, namacanie palcem kleju i dopiero przyłożenie papieru. Widzicie druhowie – taka prosta czynność, a jak trudno ją wykonać! Ile razy trzeba było powtarzać ćwiczenie, aby próba wypadła zaledwie dobrze. A jak będzie tam w kinie? Zastępowy nie był z nas zadowolony. Jeszcze tylko w podwórzu przeciwiczenie szybkiego oddalenia się, zmiany miejsca. Przed kinem przeciwiczyliśmy ucieczkę, kto gdzie biegnie. Ustaliliśmy gdzie się spotykamy i kiedy.

Poszliśmy. Był to zimowy, niedzielny dzień, po południu. Weszliśmy do hallu kina, a tu pusto. Kasa zamknięta. Na ławce w kącie siedzi parka sobą zajęta i na nas nie zwraca uwagi. Jedna żarówka ledwie oświetla niezbyt duży korytarzyk, którym szło się do kasy. Tam właśnie Jurek Dębic, niosący puszkę z klejem mącznym, wyjął ją spod płaszcza (oczywiście usmarowanego tym klejem), Julek Woźniak niosący pędzel umoczył go w tym kleju, maznął ścianę i w nogi. Ja wyjąłem plakat, przyłożyłem, ręką przydusiłem do ściany i chodu. Za mną, chyba Józek Górecki, wyjął szmatę i wycierał tak dokładnie, że plakat podarł się. Dopiero nasz zastępowy spokojnie jeszcze raz posmarował ścianę pozostawionym pędzlem, rozprostował pomięty plakat. Przykleił go i spokojnie opuścił kino.

Och! Jacy byliśmy dumni, że wreszcie coś zrobiliśmy. To nasze zadufanie rozwiął przed bramą cementarną – bo tam wyznaczono nam zbiórkę po wyjściu z kina – zastępowy i drużynowy, którzy czekali już na nas. Każdemu z nas powiedzieli, kto jaki błąd popełnił. Skąd oni wiedzieli, co tam robiliśmy? Tą zakochaną parą w kącie na ławeczce był właśnie drużynowy z Mizią Łakomą – harcerką (zastępowa z drużyny dziewcząt)!

Jaką treść zawierał ten plakat nie wiem. Wiem natomiast, że był to dla nas, dla naszego zastępu generalny trening-sprawdzian przed czynnością, którą miano nam powierzyć. Wydaje mi się, że tamten, kinowy to był nawet plakat filmowy. Świadczy to jednak o takim przygotowaniu dzieciaków, którzy w ramach „harcery Zawiszy” wykonywać mieli czynności „małego sabotażu”, jednak w bezwzględnie bezpiecznych warunkach. Przecwiczeni, ochrzanieni, dostaliśmy teraz już prawdziwe plakaty. Przykleiliśmy je w sześciu miejscach. Na blokach w Geffoheimie, na drzwiach wejściowych, w klatkach schodowych trzech bloków niemieckich i na drzwiach wejściowych do Verkaufstehle für Deutsche w bloku nr 2. Przyklejanie to wypadło trochę lepiej, niż to ćwiczebne w kinie. Tak tu jak i tam szedł za nami zastępowy ze słókiem kleju i pędzlem i nasze „niedoróbki” (fuszerki) poprawiał. My, „bohaterowie wieczoru”, byliśmy już w tym czasie daleko i byliśmy bezpieczni. Pamiętam, że najdłużej zachował się plakat na drzwiach Verkaufstehli. Naklejony w sobotni wieczór wisiał jeszcze w poniedziałek rano, do czasu otwarcia sklepu.

Bardzo ciekawa i pomysłowa była treść tego ogłoszenia. Gotowe już, porządnie wydrukowane plakaty otrzymaliśmy prawdopodobnie z krakowskiego „Nie”. Była to oferta niemieckiego biura podróży. Tourist-Angebot zachęcał do Ausflugu do różnych miejscowości w GG i Reichu. Początkowe zdania mówiły o niskich cenach, warunkach wyjazdu itp., jak to zazwyczaj się podaje. Tylko miejsce przyjęcia zgłoszeń było „dziwne”. Była to siedziba Gestapo w Mielcu. Dopiero dalsze wiersze plakatu objaśniały szczegółowo, co za „atrakcje” do zobaczenia oferuje Auschwitz, Majdanek, Pustków i kilka innych jeszcze obozów masowej zagłady. Mówił on także, że oprowadzać będą po obozach, komorach gazowych i krematoriach tacy specjaliści jak... i tu wymieniano nazwiska, adresy i inne dane największych hitlerowskich oprawców.

W dniach, kiedy nasze plakaty informowały Niemców co robią ich rodacy w Swarchruniformach, rozpoczęto też i drugi etap „informacji”. Było to już w czasie, kiedy każdy szkop pod Hackenkreuzem nosił czarną podkładkę, a więc po kłesce stalingradzkiej. Polecono nam chodzić po wszystkich klatkach schodowych w „blokach niemieckich” i ze spisu lokatorów odpisywać nazwiska i numery mieszkań. Chodziliśmy wieczorami we dwójkę. Na klatkach światła nie było. Z racji Verdunkelungu w ogóle wyłączano światła na schodach. Jeden z nas świecił „tachą” (latarką) na spis lokatorów, drugi opierając kartkę papieru na ścianie pisał to, co ten oświetlający mu mówił. A że mówił niewyraźnie i same obce nazwiska, a ten co pisał z kaligrafią był więcej jak „na bakier”, więc z tego nic nie wyszło. Na dodatek, któregoś z kolegów nakrył Niemiec wracający do domu i skończyło się na kopniaku.

Wysłano nas teraz trzech. Jeden stał przed blokiem i jeżeli widział kogoś „podejrzanego” wołał „Heindrich”. Było to imię jednego ze szkopskich dzieciaków mieszkających w tym bloku. Drugi świecił

i po jednej literce sylabizował nazwisko ternu, który najładniej pisał. Pomimo to odczytanie nazwiska przekraczało nasze możliwości.

Takie odczytywanie nazwisk, co równało się zdobywaniu adresów Niemców i różnej innej swoloczy, będącej na ich usługach, odbywało się nie tylko u nas na blokach, ale w całym mieście i jego okolicach. Kiedy już je odcyfrowano, tak jak w naszym przypadku, harcerki mające dostęp do maszyn do pisania wypisywały na kopertach adresy. Wkładały do tych kopert jakieś kartki pisane w języku niemieckim, naklejały znaczki, zaklejały i... przekazywały nam – harcerzom. Naszą czynnością było wkładanie takich kopert do skrzynek pocztowych umieszczonych w różnych punktach miasta i bloków, a także we wsiach leżących wokół Mielca. Dopiero po wojnie, na jednym ze zjazdów, spotkań byłych harcerzy szarozeregowych dowiedziałem się, że był to list, w którym Auswechsel Amt przesyła bardzo korzystną ofertę zamiany mieszkania. Jego treść była prawdopodobnie taka: „Wobec tego, że dostajemy strasznie po d... i w najbliższym czasie będziemy musieli uciekać z terenów, na których dokonaliśmy morderstw i innych czynów, za jakie grozi nam kula w łeb, oferujemy mieszkania w gruzach Hamburga, Berlina, Kolonii itd. Była tam jeszcze propozycja pozostania na naszych terenach, tych tzw. „dobrych Niemców”, którzy nie mordowali, ale bili i upodlali naród polski. Proponowano im przeniesienie się do baracken w byłych KZ-lagrach i pracę jako Aufwartsfrau – pucybutów, świniopasów itp. Listów takich wysłano sporo. Przypuszczam, że taką informację dostała każda niemiecka rodzina zamieszkująca w tym czasie w Mielcu i okolicy. Dostały ją także urzędy Landrat, Gestapo, Żandarmeria i wszelkiej maści Amty. Była to duża praca o wyjątkowym znaczeniu psychologicznym, która wywarła na Niemcach spore wrażenie.

Kiedyś po pracy, siedząc przy obiedzie, brat opowiadał, że „jego” Niemiec dostał taki list i nie zgłosił tego na Gestapo. Miał z tego powodu duże nieprzyjemności. Całe szczęście, że pokazał ten list swojemu przełożonemu, kierownikowi hali, który był jednocześnie grupowym w SA. List ten poza powiadomieniem Niemców, co ich czeka w najbliższym czasie, dawał im informacje, że podziemna Polska wie o każdym szwabie. Dla Gestapo zaś był miernikiem lojalności Niemców wobec władzy. Ci, którzy tego faktu nie zgłosili, otrzymali partyjne upomnienie.

Stopniały śniegi i nasze niedzielne zbiórki odbywaliśmy w terenie. W któreś niedzielne popołudnie nasze spotkanie z ćwiczeniem maskowania mieliśmy na cmentarzu. Za cmentarzem były rowy i pola i tam rozpoczęły się zajęcia. Przesuwaliśmy się w stronę cmentarza, a później po jego terenie. Kiedy byliśmy już blisko parkanu murowanego z czerwonej cegły (przy ulicy Długosza), zobaczyliśmy siedzących na nim znajomych z bloków „Hajotków”, którzy strzelali ze sznajder (proc) w stronę tej właśnie ulicy. Drużynowy, bo były to ćwiczenia drużynowe, wycofał nas na szosę (ul. Sienkiewicza), a na zwiad posłał naszego starszego kolegę. Po jego powrocie okazało się, że hajoty strzelały z proc do ruskich żołnierzy, których obóz urządzono po tej właśnie stronie cmentarza i który ciągnął się w kierunku stacji. Był to ogrodzony drutem kolczastym i siatką teren, bez jakiegokolwiek zadaszenia, gdzie przetrzymywano sporą grupę jeńców rosyjskich.

Wróćmy do cmentarza. Jeżeli wartownicy nie odganiają niemieckich HJ-tów, to być może i nas nie odgonią. Ubiosem nie różnimy się. W tej sytuacji do domów i każdy przynosi co może: chleb, cebule, marchew, kawałki słoniny, no i oczywiście proce, przy pomocy której będziemy trafiali w ruskich. Po godzinie znów spotkaliśmy się przy bramie. Wpierw poszło kilku „szybkobiegaczy”, to tak na wszelki wypadek, gdyby wartownicy odganiaли. Ale nie. Nikomu nie bronili śmiać się i poniżać tych biedaków. Teraz na nas kolej. Jeden z nas patrzył na budkę wartownika i gdyby ten zdejmował z ramienia karabin miał zagwizdać. Reszta, ci co mieli proce, strzelali. To było już późne popołudnie i pomimo, że wiosna, zapadał już zmierzch. Dlatego pewnie nie widzieli, kto i czym strzela. Wiem, że chłopacy byli tam jeszcze ze dwa razy w tygodniu. Kiedy poszliśmy z „bagażem” w następną niedzielę, plac był pusty.

Pamiętam twarze tych jeńców. Stali przy parkanie. Rękoma trzymali się siatki i patrzyli jakimiś mętnymi oczyma. Nie reagowali na nic. Ani na padające na nich kromki chleba ani na nasze wołania. Zaledwie co któryś podniósł to co blisko niego spadło i wówczas dopiero ożywiali się stojący blisko niego. Dzielili się tym drobiazgiem, który nawet dla jednego był zaledwie kropelką życia. Nie wiem co stało się z tymi ludźmi. Podobno po wojnie położono w tym miejscu symboliczny kamień z odpowiednim napisem.

Niemcy ciągle jeszcze nie mogli podnieść głowy po klęsce stalingradzkiej. Do mieleckiego – fabrycznego szpitala przywożono wielu tych „szwabskich bohaterów”. Mieszkali czy też leczyli się w szpitalu, ale całymi dniami łazili po Mielcu. Rekonwalescenci ci sprawiali swoim opiekunom dużo kłopotu. Rozmawiali z Polakami, pozwalali się zapraszać do domów, gdzie wyciągano z nich najdokładniejsze szczegóły wojennej tajemnicy. Alles Scheisse! Było to powszechnie wypowiedana opinia o strategicznych marzeniach „Wodza”. Ci rekonwalescenci to byli wyłącznie Niemcy. Inne narodowości „dzielnie” walczące pod Stalingradem mieli gdzieś. Tych, a byli tacy w mieleckim szpitalu odsyłano na Węgry, do Rumunii, do Jugosławii, do Włoch i Słowacji, a nawet do Francji. Do tych krajów, gdzie obecnie kręci się najbardziej bohaterские filmy o czasie wojny i ich bohaterach, maszerujących na pasku „zwycięskiej armii”.

Pociągiem pospiesznym, który z Krakowa przychodził około godziny 17.00, przywożono gazety. Już na długo przed tą godziną, przed jedynym kioskiem „na blokach” ustawiała się kolejka Polaków i „stalingradczyków”. W takiej kolejce mówiono o różnych rzeczach. A jak już któryś z nich umiał po polsku, bo był ze Śląska lub z Pomorza, to rozmowy były bardzo ciekawe i pożyteczne dla obu rozmawiających. Każdy dowiadywał się tego, czego dotychczas nie wiedział. W trakcie palenia „Juno”, „R-6”, czy przeznaczonego dla Polaków „Hadjugena” czas tak szybko mijał, że nie wyczerpywano tematu i umawiano się na dzień następny. Z gazet w języku polskim sprzedawano wtenczas „Goniec Krakowski”, „Ilustrowany Kurier Krakowski” i „Fala”. To ostatnie to było takie lekko pornograficzne piśmidełko, którego dzieciakom nie sprzedawano, chociaż bardzo chcieliśmy je zobaczyć. Ci wysiedleni, którzy znali język niemiecki, kupowali jeszcze „Krakauer Zeitung” i „Volkischer Beobachter”.

Niemieckie dzieciaki, chłopcy z HJ i dziewczęta z BDM chodziły do szpitala i porządkowały rekonwalescentom stoliki, myły podłogi, okna, rozkładały gazety na stoły i wykonywały inne drobne prace w salach, na korytarzach i w kuchni. Dowiedziałem się o tym od sekretarki Trudi. Informację tę przekazałem na jednej ze zbiórek zastępowemu. Krótco po tym zapytano mnie, czy istniałaby możliwość, abym razem z tymi hajotami dostał się do szpitala. Oczywiście! Znałem sporo tych niemieckich dzieciaków. Przecież nosiłem do ich domów wiadomości z Werku, np. że pan Vogel pozostaje na noc. Przynosiłem kure, szpek, Wurst, jaką kupili od Polaków, mieszkańców pobliskich wsi pracujących w Werku. Poza tym te volksdeutschowskie dzieciaki, które niezbyt dobrze, albo w ogóle nie mówiły po niemiecku, wołały się z nami wieczorami bawić mówiąc po polsku.

Otrzymałem więc zadanie: „dostaniesz ulotki i gazety w języku niemieckim i porozkładasz je tam wszędzie, gdzie tylko to będzie możliwe”. No i poszedłem. Pod koszulą miałem kilka czy kilkanaście papierków. Za paskiem kilka gazet w języku niemieckim. Wejście nie stanowiło problemu, chodzenie po korytarzach też nie. A zatem do roboty. To było niedzielne przedpołudnie. Rekonwalescenci byli w – nazwijmy to – świetlicy na filmie, a hajotki porządkowały sale. Ja z nimi. Spotkałem chłopaka, z którym w ubiegłym tygodniu grałem w palanta. Nie wiedziałem, że jest Niemcem. I faktycznie Niemcem nie był, tylko Ukraińcem z niemieckim Stadageherischkeitem. „Co tu robisz?” – zapytał. „To co i ty!” – i na tym rozmowa się skończyła. Ja położyłem ulotki po jednej w każdej sali, na stoliku przy łóżku, na który tu w Mielcu mówiono „nachtkaslik”. Gazety też po jednej w każdym pokoju na stole. No i w nogi. Kiedy powiedziałem o spotkaniu z tym niemiecko-ukraińskim, palantowym kolegą, to widziałem, że drużynowy Maziarzewski poważnie się zmartwił. Już więcej nie chodziłem do szpitala. Z tym (chyba mu było na imię Iwan-Janek) chłopakiem nie kazano mi się więcej spotykać.

Pociągiem przyjeżdżającym z Krakowa przywożono od czasu do czasu przesyłki, które nie mogły dojechać do stacji i których z wagonu nie można było wynosić. Prawie każdy wysiadający w Mielcu poddawany był rewizji. Mielec to był jednak poważny ośrodek zbrojeniowy. Poligony wojskowe, nowa broń Wunderwaffe! No i lasy pełne leśnego wojska. Kontrolowano więc dokładnie. Bo jeżeli nie znaleziono „bibuły”, broni czy podobnego materiału, to taki rewidujący mógł trafić na szpek, jaja, a czasem nawet na gęś. I kto ich wiedział, czego naprawdę szukali bardziej zajadle. W Mielcu były dwa przejazdy przez tory kolejowe. Jeden przy szosie wylotowej na Chorzelów, drugi „łączący” lub rozdzielający miasto od bloków. Od strony miasta, pomiędzy tymi dwoma przejazdami było boisko żydowskiego klubu „Gymkhany” lub „Makabi”. Piszę te dwie nazwy, bo obie były w użyciu. Bliżej przejazdu „miejskiego” były jeszcze tyły parku Wolności. Kiedy wieziono taką paczkę, nazwijmy ją trefną, wtenczas w trybie alarmowym zwoływano drużynę i rozstawiano ją przy torach, po stronie „Makabi” i parku Wolności. Jeden rząd blisko torów, drugi przy parkanie, trzeci za płotem już na boisku lub w parku. Następni to byli już najstarsi z rowerami. Ja stałem tuż przy parkanie boiska. Był to z desek zbity płot, dużo wyższy ode mnie. Jedynym moim zmartwieniem było to, czy będę aż tak silny, aby paczkę przerzucić za to ogrodzenie.

Każdy z nas wiedział, gdzie ma rzucić paczkę i jak, w którą stronę uciekać. Trzy razy byłem na takim przechwytywaniu i zawsze przy parkanie. Żeby choć raz ustawili mnie przy samym torze. Chwyciłbym przesyłkę i sam przerzuciłbym przez opłotowanie. Nie podałbym nikomu. Nic z tego. Zawsze przesyłkę rzucono bliżej „miejskiego” przejazdu. Podobno nas ustawiano tylko dla treningu, ćwiczeń, a przesyłka padała zawsze bardzo precyzyjnie pod nogi „ślabanowego” stojącego z chorągiewką przy przejeździe. On ją kopnął pod swoją budkę i to był najbezpieczniejszy sposób.

Zastępem, drużyną, braliśmy udział w wielu jeszcze tego rodzaju czynnościach, które dopiero po wojnie otrzymały nazwę „małego sabotażu”. Mnie jakby wycofano z tych zbiórek. Polecono nawet, abym nie chodził na zbiórki, unikał kolegów z zastępu. Prawdopodobnie któryś z chłopaków wypaplał coś o mnie w domu, a rodzic przekazał tę wiadomość gdzie trzeba. Za dobrze znali mnie Werkschutze, zbyt pewnym byłem „wynoszącym”, abym miał tę czynność przerwać.

Wczesną wiosną 1944 roku zagoniono wszystkich pracowników do hali nr 2 na miting. Poszliśmy. Przemawiał na tym wiecu człowiek w języku polskim i mówił o wykrytych morderstwach na terenach, na których byli przed Niemcami Rosjanie. Zabito kilka tysięcy polskich oficerów, którzy dostali się do sowieckiej niewoli we wrześniu 1939 roku. Pokazywano film, tłumaczono tekst na język polski. Nie

mogę przypomnieć sobie szczegółów z tego mitingu ani komentarzy. Wydaje mi się jednak, że ludzie z pewnym niedowierzaniem to przyjęli. Powszechnie znane były morderstwa dokonywane przez hitlerowców w obozach i poza nimi. Rozstrzeliwania na ulicach Warszawy. Stosunek Niemców w Werku do Polaków. To wszystko spowodowało, że słuchający tych rewelacji, biernie przyjmowali rzekomo rewelacyjne dowody. Okazało się jednak – niestety dopiero po wielu latach – że to była prawda.

Jeszcze jeden wiec był w Werku. To jednak działo się dużo później, kiedy już było ciepło. Mógł to być koniec maja, czerwiec. W tej samej hali, na przyczepie samochodowej stało kilku mężczyzn i tu rewelacja – w polskich wojskowych mundurach! Z ich wystąpień pamiętam, że byli to Polacy, którzy wyrwali się z rosyjskich obozów koncentracyjnych, wstąpili do „niby” polskiego wojska i brali udział w bitwie nad Miereją. Przeszli tam na stronę niemiecką, ponieważ stwierdzili, że jest to wojsko stworzone przez komunistów i że oficerami są w nim Rosjanie. Komenda jest polska, ale broń, umundurowanie, salutowanie i komendy wydawane prawie po rosyjsku. No bo wydają Rosjanie. Tyle tych ruskich w tym wojsku jest, że nie wiadomo po jakiemu mówić. Posłali ich nie przeszkolonych na front nad jakąś rzeczkę, bagno i pod górkę, tak że Niemcy wystrzelali wszystkich tych, którzy do nich nie przeszli. Sens tego mitingu był taki, że wreszcie są wolni, mogą mówić po polsku i dążyć będą do stworzenia antykomunistycznego legionu, który przy boku niezwyciężonej armii niemieckiej walczyć będzie z najazdem bolszewików na Polskę.

Na blokach obowiązywała godzina policyjna już od 21.00, więc ludzie nie mogąc chodzić siadali przed domami i opowiadali sobie co kto słyszał w Werku, w mieście, w Bum-Bum czyli z Londynu i co także mówiło radio rosyjskie po polsku. Ludzie jak się nagadali, to śpiewali pieśni religijne i dzień kończyli nucąc: „Wszystkie nasze dzienne sprawy”. Rozmowy dotyczyły przede wszystkim frontu. Gdzie są Anglicy, gdzie Rosjanie, co z tego wynika. Jak tam Mrica-Korps, co słychać u makaroniarzy. Jakoś mniej mówiono o Amerykanach, których uważano w tym czasie jedynie za dostawcę sprzętu i żywności do Anglii. Bardzo mało mówiło się o rosyjskich audycjach w języku polskim. Nie było w nich partyzantów, tylko bojownicy. Nie było Wilna. Była Radziecka Republika Litewska i tak dalej. W treści zawsze powoływano się na decyzje Biura Politycznego i batuszkę Stalina. Był to zupełnie inny język, chociaż polski. Nie uwzględniał sytuacji w GG. Nie zachęcał do walki o wyzwolenie Polski, a tylko do bohaterkich czynów jakimi szczytą się bojownicy komunistyczni i radziecka partyzantka na terenach zachodniej Ukrainy, np. w okolicach Lwowa. Jaka to była zachodnia Ukraina? Przecież to Polska! Nie była ta audycja lubiana i słuchana. Nawet przedwojenny komunista czy socjalista pan Zabrzejewski, wyrzucony przed wojną z Warszawy za sympatie do tego ruchu, z niesmakiem słuchał, mówił i komentował.

Wróćmy na moment jeszcze do tego mitingu. Nie wywarł on dużego wrażenia. Wiedzieliśmy, że na okrętach polskich w Anglii powiewać musi flaga brytyjska. Że na każdym statku, w każdym samolocie jest Anglik, że salutują całą ręką – czyli po angielsku. I tu i tam wykorzystują Polaków, żeby za nich, za ich kraj bili się i ginęli. Jeżeli w Rosji jest jakieś niby polskie wojsko, to przyjdzie ono tu do nas szybciej od tego „dżemojadowego”, a wtenczas zobaczymy jacy oni są! Takie i temu podobne rozmowy prowadzono wiosną i latem 1944 roku przed blokami w Mielcu.

W czasie jednego z wieczorów, kiedy to czytano przyniesione przez panią Łakomą (lokatorkę z I piętra) przepowiednie, nagle padł strzał. Wpierw jeden i za chwilę jeszcze dwa albo trzy. Werkschutz, którzy pilnowali porządku i przestrzegania godziny policyjnej, biegiem popędzili do Geffo-Heimu i telefonowali po żandarmerię. Sami zresztą nie wychylając z budynku nosa. Lotem błyskawicy rozeszła się wieść, że w bloku 24 na I piętrze w środkowej klatce schodowej w mieszkaniu nr 6 zabito, no wiecie, tego zegarmistrza. Nie był ani volksdeutschem, ani nie wchodził nikomu za skórę, więc dlaczego jego? Czyżby pomyłka?

Okazało się że nie. Pominę jego nazwisko, chociaż je znam. Był Vp czyli Vertrauenspersonen. Inaczej mówiąc był kapusiem. Za zdradę przysięgi, za zdradę kilku z kierownictwa Polski Podziemnej, otrzymał wyrok. Przeszło dwóch. Zapytali, czy mąż jest w domu. Weszli do korytarza, kiedy on wywołany przez żonę wyszedł z pokoju, odczytali mu wyrok, zastrzelili, położyli wyrok na trupie. Dla pewności oddali jeszcze po jednym strzale każdy i wyszli. Przed domem zrobili sobie „skrętą”, spokojnie przeszli około 50 metrów i już byli w lesie. Dopiero wówczas ludzie rozpierzchli się do domów. Przyjechała żandarmeria (na rowerach) i Gestapo (samochodem). Ciężarówka z żołnierzami z lotniska. Stanęli na brzegu lasu, postrzelali w stronę drzew i koniec.

Jeszcze dwa mieleckie, okupacyjne zdarzenia. Z obozu żydowskiego, a właściwie z terenu fabryki, przez otwartą bramę wagonową uciekł Żyd, który pracował w transporcie. Kiedy podstawiano wagony i „ranżerowano” nimi, brama „torowa” znajdująca się od strony wsi Cyranka była otwarta. Pilnował jej wtedy jakiś Wachtman, a byli to na ogół starsi ludzie – z pistoletem przy pasie. W czasie tego „ranżerowania” młodszy wiekiem Żydek rzucił się do ucieczki po torach bocznych i biegł w kierunku Cyranki. Nim ten starszy wiekiem Werkschutz otworzył kaburę, wyjął swojego Waltera czy Parabelkę, chłopak był już w bezpiecznej dla siebie odległości. Strzał jeden, drugi, zaalarmował wartownię i Judenlager. Nim ruszył pościg on minął już wieś, która leżała równolegle do tego boku fabryki i biegł w stronę linii

kolejowej na Chorzelów. W tym czasie przez wieś przechodził gorliwy kapuś, który widział jak Żyd schował się w przepuście pod torem bocznicy. Wskazał to miejsce goniącym Ukraińcom z Judenlagru. Ci spokojnie doszli do przepustu, kazali uciekinierowi wyjść i zastrzelili. Ot i wszystko. Jeden człowiek mniej! Kto był tym kapusiem – „nasi” dowiedzieli się od kogoś z Werkschutzów, który brał udział w pogoni. Jednak wiek i przeżycia przebyte na Ost-froncie wyhamowały jego zapędy do strzelania do ludzi, choćby to byli nawet Żydzi. Takie to pożytki Niemcy odnosili z pobytu na Ost-froncie, gdzie walczyli o Lebensraum dla swojego Vaterlandu. Mieszkańcy Cyranki zwłoki Żyda zakopali w polu, blisko zwłok kapusia.

W naszej klatce schodowej mieszkali: na parterze panie Ossowskie i rodzina Ciemnoczołowski (obie z Poznania), na I piętrze pani Łakoma z dwoma córkami – też z Poznania. Obok nich rodzina Neymanów z Bydgoszczy. Na naszym II piętrze państwo Niestrawscy, u nich na pokoju Niemiec Müller, no i my z panią (tą nielubianą przeze mnie) ze Żnina.

Któregoś dnia, kiedy wszyscy byli w pracy, do pani Niestrawskiej (mąż był majstrem w stolarni fabrycznej) przyszło kilku „leśnych”, zapakowali w koce to co warte było zabrania – a więc pistolet Walter, sztucer, amunicję, lornetkę. Podziękowali, kazali zawiadomić szybciotko sublokatora i poszli. Podobno z bloku nie wychodzili. Schronem, który łączył dwie klatki schodowe, przeniesiono Müllerowe „zbroje”, prawdopodobnie do jednej z piwnic, tam schowano i w dogodnym momencie wyniesiono.

Powiadomiony Müller natychmiast przyjechał z Werkschutzami. Z miasta przyjechało Gestapo z psem. Pies wąchał, wyszedł przed blok, poszedł w kierunku śmietnika. Szwaby myślały, że tam jest wyniesiona broń. Przewrócili kubel, łapami wygarnęli śmieci. Jeden z nich, ten psi przewodnik, wyjął parabelkę, strzelił do psa i pojechali.

Właściwie na tym skończyła się historia z Müllerową bronią. Miał on spore kłopoty z powodu zamieszkiwania u tych verfluchte Polacke. Po kilku dniach przyszli jego Parteigenosse i przenieśli jego rzeczy do Gefolgschaftsheimu (hotelu i klubu dla Niemców).

W maju zmieniono nazwę fabryki. Już nie nazywała się Flugzeugwerk Mielec, lecz Vereinigte Ostwerke (Heinkel-Werke) G.m.b.H. Zmienił się Werkschutz Leiter. Odszedł Stein, po nim Patzek i przyszedł nowy, którego podpis mam w ausweisie, jednak nazwiska nie pamiętam.

W moim życiu fabrycznym nic się nie zmieniało. Nadal siedziałem wiele godzin każdego dnia w tej naszej dyrektorskiej szatni z moim kolegą Judkiem. Od czasu do czasu, kiedy dyrektora nie było, Trudi włączała radio Stern mit Blaupunkt i słuchała muzyki. My z nią. Jeżeli przyszły jej koleżanki z innych sekretariatów, wtenczas nas wrzucały, a same kręciły galkami szukając najładniejszych melodii. Było to na ogół Radio Lakseberg, Berno, Roma... Takie stacje, jakich nawet im nie wolno było słuchać.

Co myśmy w tym czasie robili? Gadaliśmy! Wiedziałem (skąd?), że Żydzi do macek używają krwi polskich dzieci, więc pytałem Judka, jak oni to robią. On nie lubił mac i nie wiedział, że w nich jest ludzka krew. To co z ciebie za Żyd, że takich rzeczy nie wiesz?

– O tym, że ja jestem Żydem dowiedziałem się dopiero, kiedy przyszli po nas i kazali nam się wyprowadzać do getta. Ja wiedziałem, że jestem Polakiem i że moje wyznanie jest mojżeszowe. Ale że ja nie jestem Polakiem, to ja naprawdę nie wiedziałem! – Tak mi Judek opowiadał o swoim żydostwie. Umiał kilka hebrajskich zwrotów. Szczególnie tych, które potrzebne były mu przy wypełnianiu obrzędów religijnych. Opowiadał mi o radosnych świętach żydowskich, w których udział brała cała rodzina – i ta bliska i ta daleka, biedna i bogata. Znał także nasz pacierz, bo z lekcji religii nie wychodził. Jak któryś z chłopaków w klasie nie umiał siedmiu grzechów głównych – Jurek je recytował. Tak opowiadaliśmy sobie o poważnych sprawach i o głupotach, np. o naszych sekretarkach. Nigdy nie mówiłem mu co robię popołudniami i wieczorami. Gdzie i czy chodzę na niedzielne zbiórki. Ciekawe, że to on mówił mi, co się stało w mieście czy na blokach. Wiedział o „Jędrusiach”, którzy więzienie odbili. O zastrzeleniu na blokach zegarmistrza. O tym, co w tym czy w przyszłym miesiącu dostaniemy na Lebenskarty, co na Bekleidunks karty. Znał dużo lepiej ode mnie niemiecki i prawdopodobnie, kiedy nosił jakieś papierzyska po fabryce, to trochę poczytał, trochę posłuchał. Poza tym w Judenlagrze wiele mówiono na różne tematy. Przecież Żydzi pracowali w różnych działach i komórkach fabryki. Zawsze jednak był smutny. Nie trzymały się go żadne kawały. Nigdy nikomu nie chciał zrobić psikusa. Był bardzo grzeczny i... czysty. Dużo czystszy ode mnie, którego Trudi wielokrotnie wyganiała myć ręce.

Pamiętam, że kiedy pytałem go dlaczego nie chce z nami, chłopakami fabrycznymi „grandzić”, mówił, że naród żydowski – cały – musi być bardzo dobry albo bardzo niedobry. Tak życzy sobie tego Bóg. A ponieważ musieli być niedobrzy, to cały naród wyginie, więc dlaczego i z czego ma on się cieszyć?

Byliśmy razem ponad pół roku, więc gadaliśmy ze sobą wiele. Graliśmy w damkę, w szachy, w które nauczył mnie grać, czytaliśmy Adlera i inne ilustracje. Jak byliśmy sami to i Trudi była rozmownym partnerem. Wypytywał się co matka i co brat myślą o Stalingradzie, o tym co tu w GG się dzieje. Czy zadowoleni jesteśmy z pracy dla Wielkich Niemiec. Te jej wypytywania to nie były pytania wywiadowcze, podchwytliwe. Coś tam w niej pozostało z tego Śląska. Jakiś kielek polskości chyba w niej tkwił,

a rozbudził się szczególnie wtenczas, kiedy Niemcy zaczęli dostawać po dupie. Była sama. Jedynymi koleżankami były takie jak ona hitlerowskie smarkule, wysłane przez BDM do szerzenia niemieckiej wielkości temu knechtenvolkowi (naród parobków). Wiedziała, że często w sobotnie popołudnia jadę z bratem i kilkoma jeszcze jego kolegami z pracy i bloków na wieś po „jedzenie”. Nie śmiała prosić Polaka, aby jej coś kupił czy zatałszował (zamienił). Na ogół zamieniano odzież, mydło, garnki, gwoździe, kawałki prętów metalowych, blachy, za masło, mięso, jaja. Nie śmiała powiedzieć, ale jak w poniedziałek przyniosłem jej parę jajek stawała się rozmowniejsza, grzeczniejsza i mniej wyzywała „ty pieruński ciuliku”. Kiedyś spytała, czy jak tak jedziemy przez las, to czy spotykamy tych leśnych bandytów. Zdobyłem się wtenczas na odwagę i powiedziałem, że bandytów w lasach nie ma. Partyzanci by ich przepędzili, tak jak i... ugryzłem się w samą porę w język. Udała, że nie zrozumiała lub nie chciała. A czy widziałeś tych bandytów? Jak oni są ubrani? W jakie łachmany? Partyzanci polscy mają polskie mundury, czapki z orzełkiem. Tylko nowi, ci co dopiero wstąpili do „Jędrusiów” noszą zdobyczne niemieckie mundury z polskimi wypustkami na kołnierzach i biało-czerwone, szerokie opaski na ramieniu. Są dobrze uzbrojeni i sprawdzają wszystkich wchodzących do lasu.

Po pracy miała jeszcze w tej swojej hotelowej „barace” jakieś szkolenia, naukę, kończyła jakiś kurs strzelania, samarytański. Kiedyś przyszła podekscytowana i opowiadała, że teraz Niemcy na pewno wygrają tę wojnę, bo mają Vergeltungswaffe. Kto to wiedział co to jest? Ona też nie wiedziała. Na wszelki wypadek powiedziałem o tym w moim Pepo. Wiedzieli już o takiej broni. Powiedzieli mi, że są to te rakiety, jakie widziałem w Heidelager w Pustkowiu. Z Niemką mam być jednak bardzo ostrożny w rozmowie. Nigdy nie używać zwrotów: bo tak słyszałem, tak mówią... i tym podobnych. Mam zawsze zachowywać się godnie, tak jak przystało na Polaka-harcerza i tego, który składał przysięgę żołnierza Armii Krajowej.

To co teraz działo się w Werku po zmianie nazwy bardzo interesowało tych moich „czytaczy” korespondencji. Chcieli wiedzieć dosłownie wszystko. Dokąd wysła się wagony, skąd przychodzą Elementy do montażu. Jak i gdzie wychodzi korespondencja. Jakie zmiany osobowe dokonuje się i na jakich stanowiskach. W tym czasie dużo wysyłano do miejscowości Warnemünde, Swinemünde, Sasnitz, Baranovo, Budzyń. Przesyłki przychodziły z Wieliczki, Berlina, Hirschberga i wielu słowackich i węgierskich miejscowości. Wiele narodów produkowało sprzęt wojenny dla potrzeb maszyny wojennej Hitlera.

Teraz, po wielu już latach, nie potrafię powiedzieć ile miała lat. Wydaje mi się, że około 18-19. Pracowała natomiast w sekretariacie stale. To znaczy, jak rozpoczynałem pracę w Werku to Trudi już tam była. I jak Niemcy z Mielca wiali, to ona też uciekała. A zatem od marca 1943 do sierpnia 1944 roku na pewno była sekretarką dyrektora Kleinemeiera.

Przynosiłem od czasu do czasu „Gońca Krakowskiego”. Czytał go wtenczas Judek, a i ona chętnie poczytała. Wprawdzie był to niemiecki szmatławiec, jednak z wierszy i między wierszami dowiedzieć się można było niejednych ważnych rzeczy. Gazety te Judek zabierał skrzętnie do Judenlagru. Tam to już niczego nie dostawali. I tu ciekawostka – Trudi swobodnie czytała po polsku treści artykułów. Widziałem, że sprawiała jej przyjemność przypominanie sobie polskiego języka, który znała albo z domu albo ze szkoły. A może i ze szkoły i z domu. Wprawdzie jej komentarze były później pełne propagandy hitlerowskiej, ale to już odrębna sprawa i czymś wobec nas musiała się popisać.

– No widzisz Richard, Niemcy nie takie złe. Przecież gazetę po polsku wydają. Nicht war?

– Ja, natürlich Fraulein Trudi!

– A czy wy Poloki nie macie jaki tajny gazyty? – Udałem, że nie rozumiem o co jej chodzi. – No tako bibuła po waszymu.

Powiedziałem o tym na jednej z kolejnych, niedzielnych zbiórek mojemu zastępowemu. Uszykowano mi kilka gazet, takich jak „Ostwache”, „Deutschland Erwache”. Zapakowano je w „Volkische Beobachtera” i kazano położyć wcześniej rano na parapecie okna w pobliżu sekretariatu. Sam bocznymi schodami jak najszybciej miałem znaleźć się w Botenmeisterni i tam – zresztą jak każdego dnia – czekać na sekretarkę. Kiedy ja już z chłopakami przepychałem się w naszym kantorku, przyszedł Judek i zgodnie z danym poleceniem stać miał przed drzwiami sekretariatu. Widział gazety na oknie, ale bał się je ruszać. Myślał, że jest to jeden z licznych testów sprawdzających naszą „uczciwość”. Kiedy Trudi przyszła, otworzyła drzwi, wpuściła Judka, a sama poszła po gazetę, którą ktoś zostawił. A ponieważ nudziła się całymi dniami jak przysłowiowy mops, więc wszystko co nadawało się do czytania zbierała. Po niej wszedłem ja, przywitałem się i wszedłem do naszej szatni.

Po jakimś czasie zawołała mnie i Judka i pytała się, czy nie wiem, kto mógł przynieść tę gazetę. Pokazała nam oczywiście tylko „Volkischera”. Judek powiedział, że widział gazetę jak przyszedł, ale nie jego. Ja nie mogłem wiedzieć, bo przyszedłem jak Fraulein była już w sekretariacie.

Kazała mi iść do Botenmeisterni i dowiedzieć się, kto przed nią wchodził do budynku na I i na II piętro. Dowiedziałem się i powiedziałem. Teraz kazała mi obejść wszystkich tych, którzy przed nią przyszli i powiedzieć, że Frau Trudi znalazła „Volkischera” i czy ktoś pozostawił jego przypadkowo na oknie korytarza dyrekcyjnego. Nikt, o ile sobie przypominam, nie przyznał się do zgubienia gazety.

Jeden z mężczyzn przejrzał ją, powiedział, że to jest Eine ganz alte Zeitung. Smeiss das Weg (To jest bardzo stara gazeta. Wyrzuć ją). I z taką informacją przyszedłem do sekretariatu. Jestem przekonany, że Trudi nigdzie nie zgłosiła znalezienie takich dwóch antyniemieckich gazet i że przeczytała je z wielką ciekawością. A że czytała – to zdradził ją cytat, jaki powiedziała koleżance, a który znajdował się w każdej gazecie wydawanej przez krakowskie „N”. Było to: „Herr Frank – sind Sie Krank?” Gazetę musiał też czytać dyrektor. Tenże wierszyk cytował bowiem jakiemś Niemcowi, którego żegnał na front w sekretariacie. Znaczyło to, że albo Trudi musiała gazetkę pokazać dyrektorowi albo Kleinemeier miał inne źródło na prasę „N”.

Kiedy te i inne informacje przekazywałem mojemu zastępowemu i drużynowemu, kazali trzymać mi się z dala od niej. Nie wchodzić w żadne konszachty z Niemcami. Od tego są inni, specjalnie w tym kierunku wyszkoleni. Twoim zadaniem jest zbieranie i wynoszenie z Werku tego co potrzebne jest Polsce.

Zbliżał się 3 Maja. We wszystkie poprzednie lata okupacyjne składaliśmy, my harcerze szarozeregowi, kwiaty pod pomnikiem Wolności. Tak miało być i teraz – 3 maja 1944 roku. Cokół pomnika, bo właściwego pomnika od 1939 roku już nie było, mieścił się w parku Wolności, przy zbiegu ulic Wolności i Kolejowej. Po jednej stronie ulicy (Kolejowej), w ładnej i dużej willi urzędowała żandarmeria. Przy jej bramie stał wartownik, który widział wejście do parku, a być może i cokół pomnika. Po drugiej stronie ulicy (Wolności), tam gdzie obie schodziły się w ulicę Mickiewicza, mieściła się restauracja pana Wydry. Druga restauracja była już na Mickiewicza, w drugim lub trzecim domu za żandarmerią i po tej samej stronie.

Tego dnia różnymi drogami do obu restauracji zaczęli schodzić się „dorośli” harcerze i jeszcze jacyś starsi. My, trzech „szaraków”: Julek Woźny, Wiesiek Krymski i ja, mieliśmy od strony Makabi (boiska klubu żydowskiego) podejść w pobliże cokółu, jednak na bezpieczną odległość, aby pozostać niewidocznymi dla wartownika. Tam mieliśmy czekać. Dwie „restauracyjne” grupy miały wywołać jakieś burdy, hałasy, które powinny zwrócić uwagę żołnierza. W tym czasie od strony miasta jechać miał rowerzysta. Jeżeli wartownik patrzyłby na restaurację, to on, ten rowerzysta miał dzwonić. W tym czasie spokojnie, nie biegnąc tylko raczej w pozycji bardzo pochylonej mieliśmy dojść do pomnika i położyć trzy duże wiązanki kwiatów.

I tak jak założono, tak się stało. Wartownik nawet swoją giwerę zdjął z ramienia, wezwał jeszcze dwóch innych z budynku, którzy poszli zobaczyć co się tam dzieje. A my spokojnie położyliśmy kwiaty i tą samą drogą wróciliśmy do „pierwszego szlabanu” i potem każdy w swoją stronę udał się do domu.

Zimą z 1943 na 1944 rok koperty do wynoszenia otrzymywałem nie w Pepo, ale w czasie śniadania przed halą nr 2 od takiego, z którym te śniadania spożywałem.

Często chodziłem do fabrycznego ogrodnika pana Józefa Taronta, który z żoną i synem Zygmuntem mieszkał w domku na terenie Werku. Dom ten mieścił się pomiędzy halami nr 2 i Repa, bliżej budynku kotłowni i drukarni. Od niego przynosiłem dyrektorom kwiaty, warzywa. Kiedy jechał któryś z nich do Reichu, biegłem zamówić to czy tamto. Moja więc częsta obecność w tym domu nie mogła budzić żadnych podejrzeń. I tak też było. Zygmunt, kolega mojego brata, pracował też w fabryce na jakimś oddziale i wpadał do domu na śniadanie czy obiad. Tak się dziwnie składało, że w tym czasie i ja tam przychodziłem. A że dom państwa Tarontów otwarty był dla wszystkich młodych ludzi, przyjaciół syna, to i przychodził tam i „mój” przyklejacz.

Zmienił się także i ten, który na blokach odbierał ode mnie „koperty”. Już nie odklejał ich ten, który z nami – tzn. z bratem i ze mną jeździł rowerem i przed domem, kiedy brat znosił rower do piwnicy „zabierał co jego”. Teraz miał nim być porządkowy, stróż czy zamiatający ulice. Po kilku udanych oddaniach i po kilkunastu nieudanych, w czerwcu 1944 roku zakończyłem wynoszenia. Powodów było kilka. W tym czasie bramę fabryczną obsadziło SS-Ukraina i później jeszcze Kałmucy w niemieckich mundurach. Kontrole stały się plagą. Rzadko kogo przepuścili nie rewidując. Kontrole były nie tylko przy wyjściu do pracy, ale także rano sprawdzano kto, co, a szczególnie ile jedzenia wnosi. Nie chcieli, aby cokolwiek podawać Żydom. Ja z racji „zajmowanego stanowiska” uprzywilejowanego pod względem znajomościowym nie byłem nigdy kontrolowany. Chociaż przy wyjazdach samochodem zaglądano pod „płate” i kazano nam wychodzić. Patrzyli pod siedzenia, ale nie odważono się zaglądać do mojej skórzanej, brązowej teczki, w której przewoziłem dokumenty. Uznano jednak, że losu nie należy kusić i że strzeżonego Pan Bóg strzeże. Podobno jeden ze znanych „nam” Wachtmanów powiedział na wartowni: „trzeba by tego Richarda przestraszyć trochę i poddać go szczegółowej rewizji. Jest Ganc Sicher, że ten mały rojber (Kluge – też na mnie mówiono) przywozi Futer dla tego dyrekcyjnego Żydka. I kiedy już byłem czysty i niczego nie miałem, ani rano ani po pracy, zawołali mnie do wartowni. Kiedy Ukrainiec sprawdzał samochód, kazano mi się rozebrać. Chcieli podobno zobaczyć, czy przypadkiem ja też nie jestem Żydem.

Dopiero po przyjeździe z miasta dowiedziałem się od Judka, dlaczego tak sprawdzano czy jestem aryjczykiem. Judek powiedział mi dopiero wtenczas, jaki to zabieg przeprowadza się u nich zamiast

naszego chrztu. Och, jaki jak byłem „uświadomiony”. Zaraz po przyjeździe z fabryki pobiegłem do kolegów i powiedziałem im o tej nowinie.

– Rysiek! Ale z ciebie jeszcze dzieciak! To ty tego nie wiedziałeś? A wiesz, że Żydówki mają...?

Nie, nie wiedziałem. Rano pierwsze moje pytanie do Judka było – czy to prawda, że Żydówki mają...

– Rysiek – tak na mnie mówił – nie bądź takim dzieckiem. A poza tym, czy ja się tymi sprawami zajmuję? Ja też nie wpadłem dotychczas, żeby na takie tematy rozmawiać. Bo i z kim?

Któregoś dnia na teren Werku wjechały furmanki (podwozy). Dużo ich było. Na każdej podwozie pełno desek. Składano je według jakiegoś przez Niemców ustalonego porządku, przed każdym wejściem do hal. Podwozy przyjeżdżały przez kilka dni. W tym czasie zaczęły dziać się „na fabryce” różne dziwne rzeczy. Około 20 lipca wywieziono wszystkich Żydów z Judenlagru. Rano na teren wjechały wagony kolejowe, towarowe, puste. Postawiono je tuż przy rampie magazynowej. Teren od Judenlagru, drogę przed Verwaltungsgebäude (dyrekcją) i dalej do magazynu obstawili Ukraińcy. Nikt z baraku personalnego, stolarni, magazynu, straży pożarnej, no i wartowni nie mógł przejść na stronę, nazwijmy to fabryczną. Około 12.00 w największym upale kolumna Żydów, poganiana przez tę ich policję w granatowych uniformach i czapkach z żółtymi otokami, maszerowała – hałasując drewnianymi okulakami – w stronę wagonów. Wagonów było sześć. To znaczy, że nie mogło być w obozie trzech tysięcy Żydów, jak to podawały już powojenne źródła. Mogło ich być około trzystu. Kiedy czoło kolumny było na wysokości wartowni, koniec był przy naszym baraku. A barak był usytuowany w prostej linii z bramą Judenlagru. Jest to około 200 metrów. Do sześciu wagonów nie „ubito” by trzy tysiące Żydów. Nawet nieboszczyków.

Załadowano ich do tych gorących od słońca wagonów, zamknięto, na stopniach i w budkach hamulcowych usadowili się Ukraińcy i pojechali. Z baraku warsztatów szkolnych widziałem maszerującą kolumnę, która przy nas pod kątem prostym skręcała w drogę-ulicę przed budynek dyrekcji. O sześciu wagonach rozmawialiśmy przy śniadaniu. Chłopacy wiedzieli, że przytoczono właśnie sześć towarowych i pustych. Powszechnie już mówiono, że Niemcy będą wywozili fabrykę.

Na porannym apelu pan majster oznajmił nam, że teraz fabryce potrzebni są stolarze. Od dzisiaj będziemy uczyć się na Tischlerów. Dostaliśmy piły – młotki mieliśmy – i duże, ciężkie pudła z gwoździ. Podzielono nas na kilkusobowe grupy i pod wodzą jednego ze starszych zaczęliśmy przycinać deski i zbijać skrzynie. Podobną pracę do naszej wykonywano w całym Werku. Czyżby fabrykę samolotów zamieniono na fabrykę skrzyń? Już wiedzieliśmy, że pakowane będą w nie narzędzia, maszyny, dokumenty. Już pierwszy pociąg – jak go nazwano, ewakuacyjny – odjechał za bramę Werku i stanął. Oddział „Stalowego” wysadził przepust pod torem bocznicą kolejowej. Ten, w których schował się uciekający Żyd.

Na niedzielnej zbiórce przeczytaliśmy naszą gazetkę powielaną „na ucho”, która podawała najnowsze wiadomości z BBC. Rozpaczliwe były wiadomości z Wilna. Powstanie jakie tam wybuchło właśnie w tych dniach, zostało stłumione przez ruskich. Otrzymaliśmy – drużyna – rozkaz przygotowania się do pracy harcerskiej po wkroczeniu Rosjan do Mielca. Informowano nas co to są Rosjanie, co zrobili z Polakami w 1939 roku. Przestrzegano przed nimi. Przestrzegano przed rządem, który Rosjanie powołali 22 lipca, a składającym się z samych komunistów rosyjskich lub im podległych. Ludność w Mielcu rozważała możliwość wyjazdu, tym bardziej, że Niemcy nawet wyrażali zgodę na powrót do Wartegau.

Spora grupa, szczególnie Pomorzanie, wyjechała. Wyjechała też ta nasza współlokatorka – pani ze Żnina. Była to dla mnie – pomimo tragizmu czasu – radosna chwila. Wreszcie przestanę się wieczorami uczyć (miałem 13 lat). Kiedy 26 lipca w upalne południe staliśmy przed naszym szkolnym barakiem i udawaliśmy, że pracujemy, zawyły syreny. Z ich dźwięku rozpoznaliśmy, że jest to Fliegealarm. Syrena wyła, a myśmy stali nie wiedząc co robić. Od strony bramy, wzdłuż fabryki i dalej na lotnisko, leciały bardzo nisko samoloty. Jeden za drugim. Leciały tak nisko, że widzieliśmy siedzącego za sterem pilota. Każdy samolot miał dwa silniki i jednego członka załogi. A może tak nam się wydawało?

Samoloty ostrzelały lotnisko i stojące na nim maszyny. Zawróciły, przeleciały ponownie nad lotniskiem, fabryką i w kierunku bloków. Zawróciły i trzeci raz przeleciały nad nami na lotnisko. I kiedy już wszystkie pociski umieściły w stojących tam niemieckich samolotach, popłynęły w „siną dal”. Była to eskadra amerykańska. Większość z nas wyraźnie i po trzy razy przy trzech nalotach widziała białe gwiazdy na niebieskim tle.

Jak już po tej amerykańskiej eskadrze śladu nawet na niebie nie pozostało, dopiero wtedy rozszczeły się karabiny maszynowe i Flaki jakie od dawna już miały stanowiska wokoło Werku. Ani jeden pocisk z samolotu nie padł na teren fabryki. Wiedzieli, że pracownikami Flugzeugwerku są Polacy. Gdyby to były rosyjskie samoloty to czy liczyliby się, że załoga jest polska? W tym czasie otwarto wszystkie bramy i ludzie zaczęli wychodzić z terenu. Byliśmy niedaleko bramy głównej. Rzuciłem piłę czy młotek i biegiem do bramy. Z daleka widziałem łunę nad lotniskiem i dobiegające stamtąd huki. To paliły się zbiorniki paliwa i magazyny amunicyjne. Szkody spowodowane tym

nalotem były podobno olbrzymie. Samoloty leciały z baz we Włoszech w dużej grupie i nad Dębicą rozdzieliły się. Jedna grupa ostrzelała Bliznę, a druga lotnisko w Mielcu.

Biegłem przez wieś Cyranka z jakimś nowo poznanym w warsztatach kolegą. We wsi pod drzewami stało kilka niemieckich samochodów, z których w pośpiechu zdejmowano sprzężone karabiny Maszynowe i mocowano je na stojakach. Organizacja tego montażu była wspaniała. Niemiecka! Tylko, że po czasie. Dzień 26 lipca 1944 roku był moim ostatnim dniem przebywania czy raczej pracy w Flugzeugwerk-Mielec.

Już 2 sierpnia nie było na blokach żadnego Niemca. Wszyscy wyjechali. To nie była bezładna ucieczka, ale takie niemieckie Planmessigeraum. Planowana zmiana stanowisk. Także i fabryka, nie ograbiona, bo tor boczny był wysadzony, już nie była czynna i opuszczała ją w bałaganie wojsko niemieckie czyli Kałmucy i Ukraińcy. Władzę nad fabryką przejął „Stalowy” ze swoim prawie 200 ludzi liczącym oddziałem AK.

Mieszkaliśmy w tym czasie w schronach. Wiadomo, że jak Niemcy będą się cofać, to Rosjanie będą strzelać, więc bezpieczniej będzie siedzieć w schronie. Tym bardziej, że były one w każdym bloku. Do mieszkania szło się umyć (woda i prąd były) i ugotować coś do zjedzenia. Wiedzieliśmy o wybuchu Powstania Warszawskiego. Spore grupy młodzieży partyzanckiej wymaszerowały w kierunku stolicy. Na zbiórkach w tym okresie ustalano, że nie wolno na się ujawniać. Wejście Rosjan nie rozwiązuje sprawy niepodległości Polski i dlatego z jakąkolwiek decyzją „wolnościową” musimy się wstrzymać.

W zasadzie byliśmy już wolni od Niemców. Już nie widać było na ulicach Mielca i bloków ani Wehrmachtu, ani Kałmuków czy Ukraińców.

W czasie jednej z takich marszowych zbiórek przyszedł do nas ksiądz, który był podobno przez całą wojnę naszym kapłanem. Był to ksiądz Hałas. Przyszedł razem z księdzem Rzepką, który od tej chwili przejął nad nami opiekę duchową.

Były to pierwsze dni sierpnia. Rosjanie dążyli do jak najszybszego zajęcia Blizny, która opanowana była już przez polską Armię Krajową. Dążyli do linii Wisłoki, aby jak najszybciej zająć COP, przedwojenny silny okręg przemysłowy, a w nim Dębicę, Przemyśl, Sędziszów, Ligozę, Pustków. Weszli do Blizny i z zajmowanego poligonu i wyrzutni zgarnęli przebywających już tam Polaków. To samo zrobili zresztą po zajęciu Mielca z oddziałem majora Flis-Ruszczyca „Stalowego”.

Zakończył się więc okres okupacji niemieckiej. Mieszkamy w schronach. Jest jednak cicho. Nikt nie strzela. Nie ma władzy ani tej ani tamtej. Nie ma co jeść. I nie ma gdzie tego jedzenia kupić. Co będzie dalej?

W Mielcu, do którego Niemcy wyrzucili nas z Poznania, Rosjanie pojawili się w niedzielę 6 sierpnia 1944 roku. Około piątej rano słońce już grzało i zachciało się naszemu „wartownikowi” spać. Wstał z murku i chciał iść do schronu zbudzić swego następcę pana Ciemnoczołowskiego – też wysiedleńca z Poznania. Ledwie wstał, gdy usłyszał szum ciężkiego silnika. Do dźwięków silników byliśmy przyzwyczajeni. Samoloty po remoncie hamowane były na pełnych obrotach przez wiele godzin. Ten dźwięk był jednak inny. Ciężki. Potrafiliśmy w nocy odróżnić dźwięk samolotów niemieckich od rosyjskich czy alianckich. Ten był jednak dźwiękiem obcym, ciężko mrużącym. Zbiegł więc ten nasz wartownik kilka stopni do piwnicy i alarmem obudził wszystkich.

– To zapewne ciężkie czołgi idą. Znam ten pomruk spod Częstochowy z 39 roku, jak Niemcy szli na nas. – To był głos pana Niestrawskiego z I piętra. Drzwi wejściowe do budynku-bloku były zamknięte. Przez boczne małe szybki widać było, jak od strony wsi Cyranka, od willi dyrektora (też uciekł) Kleinemeiera, jedzie czołg. Olbrzym! Czort wie czy to ruski czy niemiecki? Stań! Otworzyła się kłapa wjazdu kierowcy-mechanika. Pogadali i odjechali. Czołg zawrócił, wyrwał kilka kamieni przy tym nawrocie i odjechał.

Gwiazdka 1944 roku. Smutna i bardzo skromna Wigilia, bez ojca, zamordowanego przed rokiem w Oświęcimiu.

Front ruszył. Wysiedleni zaczęli dokładniej słuchać komunikatów, czytać gazety w języku polskim i śledzić posuwanie się wojsk rosyjskich. Któregoś dnia urządzono coś w rodzaju zebrania poznaniaków i zdecydowano, że trzeba wracać. Rozpoczęto masowe pędzenie bimbru, jako jedyne w tym czasie „efektywnego” środka płatniczego. Pan Lisiak załatwiał – targował z ruskimi na stacji wykupienie wagonu. Inny z panów zbierał butelki – bardzo ważny „portfel” do przechowywania bimbru. Jeszcze ktoś postarał się o deski, słomę do wymoszczenia wagonu. Załadowano to co pozostało po latach okupacji i czekaliśmy na stacji na chętnych do podwiezienia nas do Dębicy. Mieliliśmy dwie beczki bimbru i ileś tam butelek. Byliśmy pewni, że połowy nie wydamy. Nasz wagon-chłodnia, bo takim jechaliśmy, miał tę wadę, że nie można było go zamknąć. Był bez okna. Miał za to budkę hamulcową i z niej przewiercono czy wycięto otwór do wnętrza. Był to luty 1945 roku. Nocne mrozy i dzienne zimno porządnie dawało nam się we znaki. I gdziekolwiek nasz wehikuł stanął, zaraz rozpalano ognisko i gotowano na ceglach jakąś strawę.

O ironio! Kiedy ostatni postój wypadł nam w Środzie, na jednym z bocznych torów odnaleziono wagon pełen „kurierków” piecyków z rurą. Korzystaliśmy z niego przez jedną tylko dobę. Do Poznania

dojechaliśmy już bez „pieniędzy”. Dwie beczki i kilkanaście butelek bimbru kosztował nasze cztery rodziny przejazd z Mielca do Poznania.

Nasz wagon podstawiono na tzw. wolne tory w dniu 22 lutego 1945 roku. Na sąsiednich torach ładowano wtedy do otwartych węglarek jeńców niemieckich, których przyprowadzono z cytadeli poznańskiej.

Zakończyła się wojenna tułaczka! Byliśmy wreszcie w Poznaniu u swoich! Na znaleziony wózek wsadziliśmy nasze tłumoki i jak najszybciej na Św. Marcin do naszego domu. Ale domu już nie było! Wypalone rumowisko gruzów przyjęło nas płaczem Mamy. Poszliśmy do krewnych. Brak miejsca: „Wiecie, tylu nas jest i tak ciasno mamy, zaledwie kilka pokoi”. Poszliśmy do obcych: „Cieszymy się, że wróciliście. Domu nie macie – będziecie mieszkali u nas tak długo, jak to będzie potrzebne. Aż się jakiś własny kącik znajdzie”. I to już wszystko.

Co było dalej ze mną i z moją rodziną, przemiany jakim trzeba było się poddać to już inny rozdział mojego życia.